

odpisy

NARODOWA SZKOŁA OBŁAPKI

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 20 kwietnia 1958 r. Cena 1 zł nr **8**

PAMIĘTNIK SIEDEMNASTOLETniej

Autorka pamiętnika, Aleksandra Wejman jest uczennicą dziesiątej klasy Gimnazjum Ogólnokształcącego w jednym z miasteczek pod Łodzią. Jej pamiętnik ma nie tylko wartość dokumentu socjologicznego, ale jest przede wszystkim świeżym spojrzeniem nie pozabawionym wartości artystycznych na swoje środowisko, na najbliższych, w których kręgu kształtuje się jej — jakże odrębna — umysłowość. Rzucamy często gromy na młode i najmłodsze pokolenie, zapominając, że rośnie ono w cieniu wzorów starszej generacji, którą życie nieraz lamalo kołem upodlenia. Pamiętnik ten nazwałbym optymistycznym. Dziewczyna nie nasiąka idealami matki, pójdzie drogą jaśniejszą, z wyboru czy z przeznaczenia, może to sprawa terminologii. Ważne jest, że młode pokolenie umie oddzielić światło od ciemności, wybiera świadomie to pierwsze. J. W.

28 maja.

Pierwszy dzień mojego pobytu w Bierkowicach. Jak ułoży mi się życie? Czy wszystko będzie tak, jak do tej pory, czy może zmienię się na lepsze?

29 maja.

Właścicielka domu, w którym mamy mieszkać, jest bardzo miłą osobą. Pomogła mamie poustawić meble. Jutro do nowej szkoły. Już tyle razy zmieniałam szkoły, że ta zmiana nie robi na mnie wrażenia.

30 maja.

Bardzo jestem szczęśliwa! Mama całkiem się zmieniła. Mam wrażenie, że stara się odzwyczaić od tego straszego nalogu.

3 czerwca.

Dzisiaj dostałam pierwszy stopień z polskiego. Napisałam wypracowanie, w które włożyłam wiele pracy, ale piątka wynagrodziła mój wysiłek. Wysłałam wieczorem po mamę do sklepu, gdzie pracuje.

Spotkałam ją na drodze. Niosła pełną torbę sprawunków. To było czymś nowym. Do tej pory tylko ja chodziłam po zakupy. Po kolacji przyrządzonej przez mamę poszliśmy na spacer. Nie przypuszczałam, że z mamy może być taka fajna koleżanka. Kiedy szliśmy z powrotem mijając stada krów, wracających z pastwisk, mama przypomniała mi, że mam iść do „naszej gospodyni” na świeże mleko. Teraz co rano i wieczór wypijam szklankę mleka „prosto od

krowy”. Bardzo się dzisiaj rozposalam, ale to dlatego, że jestem taka szczęśliwa.

4 czerwca.

Dobra atmosfera trwa nadal. Ja jednak jestem chyba wciąż mało-kontentką, ponieważ ogarnia mnie lęk na myśl, że to jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. A jednak...

6 czerwca.

Dzisiaj, kiedy mama szła do pracy, a ja udawałam, że jeszcze śpię, pocałowała mnie i na palcach wyszła z pokoju. Czy może być większe szczęście?

Po południu.

Wróciłam ze szkoły i żeby zrobić mamie przyjemność zamiotłam podłogę, umyłam naczynia, przyniosłam kwiaty i czekałam do wieczora.

Minęła godzina, o której mama wraca do domu. Poszłam do sklepu. Był zamknięty. Ludziłam się jeszcze nadzieją, że może jest na zebraniu. Wróciła o jedenastej. To był okropny cios. A kiedy między jednym atakiem wmyłotów, a drugim rzekła: „Nienia, wybacz”, rozplakałam się.

10 czerwca.

Mama znów wchodził na drogę „cnoty”. W szkole po staremu. To znaczy: my udajemy, że się uczy-

Dokończenie na str. 9



ZYWOT JÓZEFA. Achiza — Barbara Horawianka, Józef — Bohdan Baer, Zefira — Barbara Rachwańska, Potyjar — Zygmunt Zintel

Srocza krzeczka na płocie: będą goście nowi!
Srocza czasem omyli, czasem prawdę powi.

Państwo przypominają sobie te wiersze? To początek „Kołaczy” Szymona Szymonowicza, sielanki w drukarni Akademii Zamoy-skiej roku 1614 odbitej. Tenże Szymonowicz napisał dla nas jeszcze jedną sielankę. I tym razem pamięć nie powinna Państwa zawieść. Tak, „Zeńców” czytaliśmy wszyscy jeszcze w szkole średniej. A potem zapomnieliśmy o nich dokładnie i ochocho. Nie nasza to jednak wina, że Szymonowicz i Rej, Morsztynowie i anonimowi poeci, sowizdrzalscy zepchnięci zostali w mroczne sztolnie niepamięci narodowej. Przyczynili się do tego także i nasi mili belfrzy, potom staropolskim puszczać krew i wycinając jądra, tak by ich dzieło było jak lustro, odbijające obraz — jedynie prawdziwy — dawnych wieków.

Dobrze więc się stało, że Kazimierz Dejmek pozwolił Barbarze Horawiance powiedzieć bardzo wdzięcznie ze sceny Teatru Nowego cytowanego wyżej Szymonowicza. Dobrze się stało, że pozwolił przemówić z tej sceny poetom staropolskim tekstami, w których pulsowała krew i sperma. „Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego” Mikołaja Reja jest, powiedzmy to od razu, dziełem raczej ciężko strawnym i wystawiającym na nie lada próbę wytrzymałości dwudziestowiecznego czytelnika. Czas nie oszczędził tego tekstu i nadkruszył go mocno. Nic więc dziwnego, że Dejmek, podejmując się jego scenicznej realizacji, samego Reja znacznie okroił i przemieszał go jeszcze z Klonowicem, Władysławuszem, Kochanowskim i przeróżnymi sowizdrzalskimi fałcjami. Tak powstało wielkie widowisko tradycyjne, narodowe w formie, a w treści współczesne.

Dokończenie na str. 7

W NUMERZE:

ASPAZJA

CZY

- telewizja odzwyczaia od myślenia?
- kobiety powinny pisać wiersze?

BELFER

Głowa o niemalowa-
ne drzewo

TOTO-LOTEK
I MIESZKANIA

SŁOWA CIENKIE
I GRUBE

O STUDENTACH

KREW NA LODACH ŁADOGI CZYTAJ NA STR. 3



Zima 1942. Snajperzy w drodze na przednie linie frontu

Toto-Lotek i mieszkania

Doprawdy, nie zamierzam wykazywać, że jedyna droga do zdobycia mieszkania wiedzie przez gry liczbowe. Nie pragnę przysparzać Toto-Lotkowi entuzjastów, abowiem on sam doskonale potrafi się reklamować swoimi trzy i półmilionowymi wygranymi tzw. pierwszego stopnia. Zresztą, rzucanie hasła — „przez Toto-Lotka do własnego mieszkania”, to lekka przesada. Zwykły śmiertelnik ma jednak nieco większe szanse zdobycia mieszkania z budownictwa ZOR-owskiego, niż „załapanie” głównej wygranej w Toto-Lotka.

Chodził mi więc o zgola inne to rodzaju związek, jaki bez wątpienia istnieje między owymi dwiema sprawami.

Od kolebki nas ucza, że my, Polacy, jesteśmy narodem zdolnym, coż kłóły pozabawionym talentów organizacyjnych. Wierzyłem w te nauki bez zastrzeżeń — aż do ostatnich miesięcy. Abowiem właśnie Toto-Lotek i inne gry liczbowe zaprzeczają im całkowicie. Przejedźcie całą Polskę wzdłuż i wszerz, zajrzyście do najmniejszych, deskami zabitej dziury, wszędzie oczy Wasze uleszą radosny napis: „Punkt Toto-Lotka”. Ani się obezrzeliśmy, kiedy się toto zjawilo. Błyskawicznie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, powstał ogromny aparat, tysiące punktów, załatwiających co tydzień miliony klientów — bez tłoku, kolejek i reklamacji! Błyskawicznie powstała kolosalna maszyna działająca szybko i precyzyjnie.

Ani się obezrzeliśmy, a już pracują tysiące ludzi, znalazły się potrzebne lokale i barwy wywieszki. Dalibóg, łatwiej odnależć punkt Toto-Lotka, niż np. lokal wyborczy w okresie wyborów do rad narodowych.

Gdyby więc ktoś próbował mi dziś dowodzić, że „Polacy pozbawieni są zdolności organ...”, odpalę mu z miejsca: A Toto — to pies? A Kukuleczka? A Karolinka, Lałkonik, Syrenka, Liczyrzepka?

Oczywiście, malkontenci próbują argumentować, że nasze talenty organizacyjne na totkowej niwie są prostym wynikiem działania tzw. bodźców materialnego zainteresowania, no i faktu, że owe gry — to świetna machina do bezboicznego i atrakcyjnego pompowania nadmiaru pieniędzy z rynku. Fallichó malkontentów! Teza o braku zdolności organizacyjnych została podważona w sposób budzący co najmniej nadzieje, jeśli już nie dumę narodową. Teraz chodzi już tylko o drobiazgi: zastosowanie owych zdolności na innych niwach. Powiedzmy — mieszkaniowej.

Wiedomo, tutaj nie znajdziemy zbyt wielu powodów do zachwycania się naszymi organizatorskimi talentami. Wiedomo, zawiadają trudności obiektywne. Ale przecież każdy przynajmniej, że otwierają się także nowe, obiektywne możliwości. Ot, chociażby związane z budownictwem mieszkaniowym podejmowanym przez zakłady. Słychać w Łodzi, że dawno „Oflary” — a od Października „Olimpia” — zamierzają budować blok mieszkalny; z podobnymi zamiarami noszą się Zakłady Im. Gwardii Ludowej — i może jeszcze ze dwie — trzy tęczkie fabryki. Ale to daleko mało — nie tylko w zestawieniu z naszymi niemiał już udowodnionymi ta-

lentami, ale przede wszystkim w porównaniu z naszymi potrzebami. Przede wszystkim dziesiątków innych zakładów nie stać na budowę własnych bloków. A ludzie, jak ludzie wołają o mieszkania i nie zawsze chcą czekać na wygraną pierwszego lub drugiego stopnia.

Dlatego szczególnie cenna wydaje mi się myśl rzucona przez przewodniczącego Prezydium DRN — Ruda, Jagodzińskiego na ostatnim posiedzeniu egzekutywy Komitetu Dzielnicowego PZPR. Myśl ta jest prosta: należy zjednoczyć wysiłki kilku lub kilkunastu zakładów i wspólnymi siłami przystąpić do budowania. Na terenie dzielnic Ruda jest co najmniej kilka zakładów, z których każdy może przeznaczyć na ten cel po pół miliona złotych. Połączone sumy stanowiłyby kapitał, z którym można startować.

Trochę gorzej z materiałami. Tak się przynajmniej u nas mówi. Nie podzielałem tej opinii. Przypomniał mi się bowiem sprawa obywatela S., którą przed niedawnym czasem rozpatrywała organizacja partyjna Zakładów im.

Obrońców Westerplatte. O-tóż ów obywatel wywoził z terenu zakładów kilkanaście przyczep traktorowych gruzu, w którym jak się okazało wygrzebał sporo cegły. Z tego gruzu powstał domek. Inne zakłady, w których syn ob. S. pełnił odpowiedzialną funkcję, przyszły budowniczym z pomocą: ogrodzili teren siatką drucianą, wstawili żelazną bramę wartości kilku tysięcy złotych — i inne drobiazgi. Domek więc stanął — i stoi na chwale „organizatorskich talentów” ob. S. I kiedy na zebraniu rozpatrywano tę sprawę padło nagle zaskakujące pytanie: Wzjęć jak to? Oplacało się temu S. wykorzystanie ów gruz, a nam, zakładowi, nie oplaca się?

Powtarzam teraz to pytanie — jak echo. Odnoszę je także do żużlu: tony żużlu „przelekają” z fabryk w prywatne ręce — i „im” to się oplaca, a nam nie? Ejże, obywatele rodacy, czy tu już nam organizacyjne talenty nie dopisują?

Najwidoczniej jednak nie! Dlatego rzucam hasło: uczmy się od Toto-Lotka!

Polityczna młocka

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WIZJA deputowanego DOERINGA

Nie jest chyba przypadkiem, że ilekroć my — Polacy mówimy o polityce międzynarodowej, zawsze przedzie czy później rozmowa sejdzie na temat Niemiec. W soczewce problemu niemieckiego skupiają się bowiem wszystkie węzłowe za-

ne NRF — stwierdza dalej uchwała — muszą być wyposażone w najbardziej nowoczesną broń”. W ten sposób parlament zachodniemiecki otworzył wrota dla uzbrojenia Bundeswehry w broń atomową i wodoczo- wą.

Zwycięstwo agresywnej polityki reprezentowanej przez koalicję rządową nie



Próba „Broni strategicznej” w NRF. Przy próbie dwaj specjaliści amerykańscy.

gadnienia ogólnostanowe i naberają dla nas cech konkretnych. Niebezpieczeństwo agresji pod hasłem „Drang nach Osten” jest bowiem wciąż aktualne, a brew zachwytem niektórych naszych publicystów nad pokojowym charakterem NRF.

Kubłem zimnej wody na rozpalone głowy optymistów była ostatnia debata Bundestagu, na której podjęto uchwałę wzywającą rząd federalny, by „kontynuował organizowanie niemieckich sił zbrojnych w ramach wspólnoty obronnej paktu atlantyckiego”. „Siły zbroj-

ne NRF — stwierdza dalej uchwała — muszą być wyposażone w najbardziej nowoczesną broń”. W ten sposób parlament zachodniemiecki otworzył wrota dla uzbrojenia Bundeswehry w broń atomową i wodoczo- wą.

Zwycięstwo agresywnej polityki reprezentowanej przez koalicję rządową nie

oznacza oczywiście jakiejś jednomyślności zachodniemieckiej opinii publicznej w tym względzie. Bardzo silne nastroje antywroenne znalazły swój wyraz podczas debaty w ostrych wystąpieniach przedstawicieli opozycji, a zwłaszcza deputowanych z ramienia SPD i FDP. Nadaly one całej debacie charakter burzliwy i długotrwały.

Przewodniczący frakcji FDP Mende, choć przeciwny rozmowom z NRD, opowiedział się za realną polityką. Związek Radziecki stwierdził Mende, zdaniem FDP nie

GLÓWA o niemalowane drzewo

Nasza szkółka

Ważnym morski biegnącego sezonu prasowego nazywa się Marek Hlasko. Wypowiedzieli się na jego temat zwolennicy i przeciwnicy, „gorszyście” młodzieży i antygorszyście, wypowiedzieli się też ci, którzy uważali, że nie ma o czym tyle gadać. Tylko dla Belfra znowu nie nie zostało.

Obeenie najbarwniejszym prasowym widowiskiem jest bodaj groteskowa krucjata PAX-u, bawiącego się w Akcję Odnowy Moralnej i walczącego wielosłowiem z „pornografią”, pijaństwem itp. w aspekcie kosmosu i Tysiąclecia Polski. Wypowiedzieli już Oni wielokrotnie więcej słów niż jest w Polsce dziewczynek, które mogłyby czynić pornografię i upadek moralny i więcej niż jest w Polsce butelek alkoholu. Poza tym śmiał się już z PAX-owych moralizatorów każdy, kto tylko ma głębię układną do śmiechu, a więc Belfrowi wlec się tu w ogonie nie wypada.

No! W końcu jest jednak coś! Ratuja nas poczciwe „Kierunki” publikujące największą bzdurę, jaka w latach ostatnich oglądała prasowe łamy. Chwała „Kierunkom” za poratowanie poczciwego Belfra w ciężkiej opresji. Na bezrybiu i „Kierunki” ryba! Jest się od biedy do czego przypiąć.

Jeden z warszawskich dziennikarzy opublikował nieprawdziwą wiadomość jakoby w Rzeszowie zdarzył się fakt spalania na stosie szeregu ksiązek.

Owa pomyłka wielce uradowała „Kierunki” i ich publicystę Jerzego Stadnickiego. Poczuwając się widać do pełnej wspólnoty z ciemnogrodem i uznając każdy weń atak za atak w kierunku „Kierunków” odgrzyzli się one przedziwnym zaiste elaboratem.

Stadnicki podnosi cztery tezy publicystyczne:

1) Nieprawdą jest jakoby o kultuństwo, ciemnogrod-

kość, dewocyjny fanatyzm i średniowieczna mentalność obyczajowo-etyczna istniały w zakamarkach Polski. Natomiast prawdą jest, iż tego typu zjawiska wymyślają i rodmuchują warszawscy dziennikarze.

2) Nieprawdą jest jakoby instytucja prowincji w ogóle w Polsce istniała. A nawet, jeśli ona istnieje — nie stanowi żadnego problemu. Dlaczego? Ponieważ prowincja jako taka na całym świecie zanika (?)

3) Poza tym, jeśli nawet (w mniemaniu innych ludzi rzecz jasna, nie Stadnickiego) prowincja polska istnieje, to jakimiz blahymi są jej problemy w świetle faktu, iż cztery sputniki krążą po niebie.

4) Z prowincji nie ma żadnego pożytku, a tylko kłopot, ponieważ u nas nawet literaci piszą o prowincji i przez to nie chcą ich tłumaczyć za granicą.

Jeśli moi drodzy Uczniowie przestraszą się w tym miejscu, że plotę absolutne bzdury, to pozwalam sobie przypomnieć, że to nie ja, tylko Stadnicki. Coż więc czynić? Polemizować?

Ludzie, ludzie, przecie w Polsce prawił o tym, że 20 milionów ludzi mieszka na wsi lub na prowincji i o tym co się tam dzieje, o babkach, czartach, czarownikach, o zaszczytach dziewczynach z nieślubnymi dziećmi i atakach na pogrzeby ateistów i innowierców, o średniowiecznej „opinii moralnej” itp. itd. byłoby to mienienie truizmów powodujące u czytelników większą niestrawność niż święteczna. A może tłumaczyć Stadnickiemu, że z punktu widzenia wszechświata i sputników cała Polska jest guzik warta jako problem z ruchem supermoralno-paxowym, samym Stadnickim i warszawskimi kawiarniami włącznie?

Ze sputnikowy kosmos guzik interesuje pornografia, moralność i niemoralność, Hlasko, CAT, Wielopolski, Tysiąclecie i inne rzeczy, z których Stadnicki i jego pis-



mo żyją, a nawet nasza stopa życiowa, duma narodowa, dzieje bohaterskie reformy, normy, demokratyzacja debaty i przyległości?

Interesujące jest w tej aferze jeszcze i co innego. Przed wojną też był Piroszyński, Niepokalanów i różne kawałki ciemnogrodu zinstytucjonalizowanego i żywiołowego. Ciemnogród ów działał w imię religii, Polski od morza do morza, zalewu żydowskiego, antykomunizmu, walki z czartem, upadkiem narodowym, upadkiem moralności i tak dalej w tym guście.

Wszak nikt nigdy nie słyszał, aby ciemnogród przemawiał językiem: „Jam jest kołtuński ciemnogród. Ja go reprezentuję. Ja stoję w jego obronie” nawet jeśli by potem dodawał — „ale nieprawdą jest jakobym był, natomiast prawdą jest, że mnie nie ma”.

Dziwnie to i zastanawiające, że w gruncie rzeczy takim językiem zaczynają przemawiać „Kierunki”. Nie może to być bez kozery. Belfra nachodzi tedy obawa, że jest kozera. Są tacy, co lubią stawać na czele. A jest na czele czego stawać.

W świetle powyższego już nie palcem, ale głową w niemalowane drzewo puka Wasz

BELFER

zrezygnuje ze stanowiska, iż istnieją dwa państwa niemieckie (ironiczne okrzyki „Aha!” na ławach koalicji rządowej). Ten kto dziś jeszcze wierzy, że Armia Czerwona opuści NRD, jeśli równocześnie obce wojska nie opuszczą Republiki Federalnej jest beznadziejnym głupcem — oświadczył Mende wśród oklasków opozycji.

Zaraz po nim przemówił kanclerz Adenauer. (Zgodnie z konstytucją członkowie rządu federalnego mogą zabierać w parlamencie głos, ilekroć uznają za stosowne. Adenauer, Brentano i Strauss przemawiali w ciągu czterodniowej debaty wielokrotnie). Odrzucił on tezę opozycji, że istnieje wybór tylko między śmiercią atomową, a zakazem broni nuklearnej. Rezygnując z broni atomowej NRF stałaby się najsłabszym ogniwem w NATO, na co zdaniem kanclerza nie można pozwolić.

Adenauer poruszył także „własną sprawę”. Część niemieckiej opinii publicznej chwaliła go za niespodziewane opowiedzenie się w grudniu ub. r. w Paryżu za rozmowami Wschód — Zachód. Mówiono o nim, że z Pawła zrobił się Gaweł. — Nie sądzę — powiedział kanclerz wśród śmiechu parlamentu — jeśli pozwolicie, czuję się właściwie wciąż

jeszcze Pawłem. — Wydaje się, że Adenauer był w tej wypowiedzi całkiem szczerzy.

Debata zyskiwała z godziny na godzinę na ostrości. Gdy w drugim dniu deputowany partii koalicyjnej Deutsche Partei Schneider powiedział, że zapobieżenie konfliktowi wojennemu leży wyłącznie w ręku Boga, z ław opozycji padł okrzyk: „Bezwstydnny bałwan!” Kiedy tenże Schneider powołał się w pewnym momencie na zmarłego przywódcę SPD Schumachera, deputowany Wehner zawołał: „Czy pan wie, że Schumacher nigdy nie nazywał pana inaczej jak Ehrabschneider?” (Nieprzetłumaczalny kalambur, po polsku tyle co: oszczerca).

Inne starcie nastąpiło między deputowanymi Jaegerem (CDU) a Doeringiem (FDP). Gdy pierwszy z nich uzasadniał konieczność uzbrojenia Bundeswehry w broń atomową, Doering spytał, czy Jaeger gotów jest ostrzeliwać z taktycznej broni atomowej Lipsk. Jaeger odpowiedział pytaniem: „Czy nie wierzy pan, iż Niemiec officerowie lepiej od officerów wojsk sojusznicznych wiedzą, że Lipsk jest miastem niemieckim?” Na to jeden z deputowanych nazwał Jaegera „łowcą głów z Formozy”. Po przemówieniu ministra

obrony Straussa deputowany Doering powiedział: „Kiedy go słuchalem, miałem przed oczami straszliwą wizję: wydawało mi się, że po przegranej wojnie, czarny od prochu, siedzi on w zniszczonej bunkrze i mówi: nie chciałem tego wszystkiego”.

Przytoczyłem tylko trochę przykładów z obszernych materiałów z debaty dla zilustrowania tezy, że głosy rozsądku są w NRF silne. Niemniej jednak w polityce zwyciężyła jak dotąd obłąkańczy kierunek na uzbrojenia atomowe. W tych warunkach nie trudno o nowego Hitlera. Świat musi być czujny.

Autentyczna

ANALOGIE

Katalog firmy nasiennej Hansa Meisera (Hannover) w następujący sposób reklamuje gatunek róży noszący nazwę „Konrad Adenauer”: „...Także w okresie całkowitego przekwitania róża prezentuje swe skończone piękno”.

OSKARZENIE

Egiptski publicysta Mohammed Galal oświadczył niedawno: „Każdy sztylet wbiły przez syjonistów w pierś Araba został zrobiony ze stali, której Niemcy zachodnie dostarczają Izraelowi”.

aspazja

ILUSTR. JBIŚ-GRATKOWSKI

— 10 —



Groziło nam zderzenie z planetoidą.

Nasza artyleria protonowa sprzężona na dole z systemem radarów sterujących rozpocznie swój ogień automatycznie — w momencie, gdy cel będzie pewny. Planetoid posiada około 10 kilometrów średnicy. Za dwadzieścia minut przejdziemy przez miejsce, gdzie miało nastąpić spotkanie — powiedział Admirał.

Nad tablicą rozdzielczą zapłonęło nagle zielone światło.

— Uwaga! — krzyknął admirał — działa otwierają ogień.

Przez kadłub rakiety przeszedł lekki wstrząs, który zamienił się w stałe drżenie.

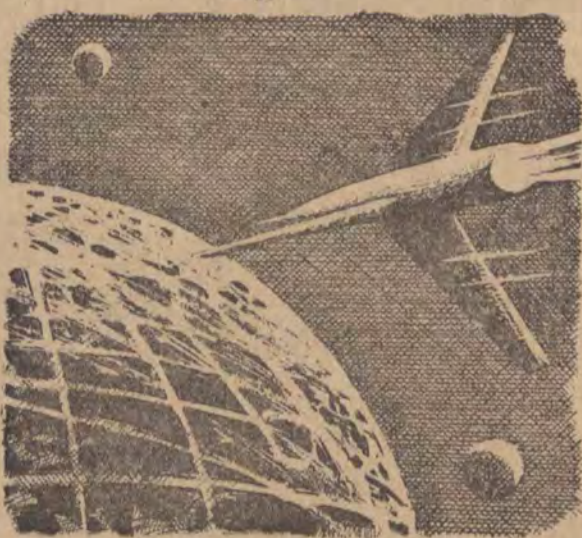
Przed nami daleko, jakby na ekspresjonistycznym obrazie, ujrzałem złotawe i buraczane płomienie bryzające świecącymi iskrami na wszystkie strony. Jakkolwiek eksplozje te musiały być potężne, jednak w próżni kosmicznej nie słychać było żadnego dźwięku. Pod nami i za nami posuwała się zielonawa poświata. Na osłonie elektronicznej błyskało mnóstwo złotych iskier — pelgały i podskakiwały zupełnie jak błędne ogniki. Wchodziliśmy w chmurę drobnych odłamków.

Po upływie kwadransa przeszliśmy przez duży obłok ciemnego, czerwonego pyłu i cała osłona rozbiła się złotym światłem. Przewyższyło ono znacznie siłę światła słonecznego. Rozbiły się i zgasły. To było wszystko, co zostało z ciała niebieskiego, liczącego 10 kilometrów średnicy.

Stojąc wtedy przed kryształowym oknem i patrząc na zniszczenie planetoidy, pomyślałem o wielkiej potędze Człowieka.

Z każdym dniem jesteśmy bliżej Marsa. W teleskopie wyrósł już na wielką, czerwono-granatową kulę. Jest znacznie większy niż tarcza Księżyca oglądana gołym okiem. Bez teleskopu wciąż jeszcze błyska jaskrawą czerwienią z odcieniem pomarańczowym i fioletowym. Tam daleko — na Ziemi, w każdy pogodny wieczór świecił on mocno różowym kolorem na południowo-zachodniej stronie nieba. Doskonale już są widoczne dwa

— 11 —



jego małe księżyce: Deimos (Zgroza) i Fobos (Strach). Nie można rzec, aby nazwy te bardzo się nam podobały. To jest być może wszystko, co na tej planecie spotkamy — grozę i strach.

Na biegunach Marsa niedawno lśniły białe czapy składające się ze szronu — obecnie zniknęły, bo zbliża się krótkie lato i słońce operuje nieco mocniej, choć temperatura nadal jest niska. „Łądy” marsjańskie mają kolor cegły. Poprzecinane są one w różnych kierunkach przez ciemne „Morza”, „zatoki” i „bagna” i niezliczone kanały o barwie fioletowej, niebieskiej, w niektórych miejscach brunatnej lub nawet czarnej. „Morza” w pobliżu zanikających białych czapek ciemnieją stopniowo, jakby woda wypełniała wyschłe łożyska. Nasuwa się myśl, że ciemne plamy — to okolice pokryte roślinnością podobną do roślinności dawnych tundr lub bardzo wysokich gór, przeważnie w kolorze niebieskim lub fioletowym, gdyż kolory te pod względem termicznym są dla roślin mało wartościowe i stąd nie podlegają absorpcji. Najwięcej interesują nas, rzecz jasna, kanały, jako dzieło istot inteligentnych. W tej chwili nikt z nas nie ma wątpliwości, że stworzone zostały przez mądrych inżynierów. Są to proste, długie i wąskie, ciemne linie przebiegające we wszystkich kierunkach po powierzchni planety. Zbiegają się one po kilka w „jeziorach”, czasem ulegają rozdzieleniu, po czym znów się łączą i często wyginają. Ilość ich wynosi ponad tysiąc. Jest to, jak się zdaje, bogaty system irygacyjny, doprowadzający do okolic równikowych wodę pojawiającą się na biegunach. Są to więc ślady potężnej walki o wodę, jaka się tutaj odbyła przed dziesiątkami, a może setkami tysięcy lat. Stara jakaś cywilizacja nieznanych mieszkańców Marsa musiała już bardzo dawno wyginać. Obecnie planeta ta ma niezwykle surowy klimat, brak wody i tlenu — zupełnie więc nie posiada warunków, aby mogło istnieć jakiegokolwiek wyżej zorganizowane życie. A jednak? Jednak coś tu istnieje bardzo groźnego i potężnego...

— 12 —



Wszyscy jesteśmy podnieceni, bo Mars rośnie wprost w oczach. Podróż nasza ma się ku końcowi. Dojeżdżamy już do tej tajemniczej i strasznej stacji. Cóż tam nas spotka?

Profesor Townsend rzucił takie pytanie:

— Czy mogą być jakieś inne przyczyny, prócz biologicznych, że na planecie tej zginęło tyle naszych wypraw?

— To znaczy jakie? — ktoś zapytał.

— Nie wiem — odrzekł profesor. — Nie wyobrażam sobie, ale może jakieś czysto fizyczne, może chemiczne, termiczne, promieniste. Może jest działanie jakichś gazów lub temperatur tylko w nocy?

— Jak to? Przecież wszystko jest wyważone i pomierzone. Nie ma mowy o temperaturach — odezwał się prof. Cabarra.

— Mówiłem już nieraz — zaśmiał się zgrzytliwie profesor Carrocci — zastępy duchów... legiony szatanów... oddziały upiórów. W ogóle... nieczysta siła. Starożytny Belzebub tu ma swoje piekło. Tu bywał niegdyś Dante. Tu mieszka demoniczna wampirzyca, która ubóstwia dojrzałą krew ziemskich uczonych.

— Chciałbym jednak znać odpowiedź na pytanie profesora Townsenda — odezwał się nasz poeta i inżynier Victor Pilatti (mimo swego włoskiego nazwiska, był on Anglikiem). Czy możemy sobie wyobrazić inteligentnego wroga inaczej niż biologię? Jak możemy sobie wyobrazić tę jakąś złowrogą kobietę? Znamy tylko nasze ziemskie wzory. Jak więc oderwać się od tego? Wypada również zastanowić się — jak nawiązywać kontakt, jak porozumieć się z czymś, czego nie można sobie wyobrazić? Nawet jak walczyć z zupełnie nieznanym wrogiem?

— Och, tego nie obawiajmy się! — zawołał profesor Carrocci. — Nasze superbomby mogą być użyte bez jakiegokolwiek słów. Nawet w zupełnym milczeniu. W ogóle proponuję od tego zacząć wszelkie pertraktacje.

(D. c. n.)

RAFAŁ MALKIN

KREW NA LODACH ŁADOGI

Z okazji Dni Leninowskich

Pod koniec sierpnia 1941 r. hitlerowska grupa armii feldmarszałka von Leebe, w ciężkich, forsownych marszach zbliżała się do Leningradu.

Zdobycie miasta — kolebki Rewolucji Październikowej miało nie tylko propagandowe znaczenie. Leningrad był ważnym punktem strategicznym, stanowiącym ostatnie miejsce oparcia dla Floty Bałtyckiej oraz naturalnym bastionem chroniącym linie komunikacyjne z Murmańskiem, jedynym nie zamurującym portem na północy. Ponadto był Leningrad po-

ważnym ośrodkiem przemysłowym, dającym ponad 10 proc. ogólnej produkcji przemysłowej ZSRR i to głównie w skomplikowanych urządzeniach mechanicznych i elektrycznych.

Nie też dziwnego, że von Leebe rozporządzał ogromną siłą uderzeniową 300.000 ludzi skupionych w 32 dywizjach piechoty, 4 lekko- i 4 dyw. zmotoryzowanych i 4 dyw. pancernych. Grupa dysponowała 6.000 dział i tysiącami czołgów. Wspierały ją wojska lotnicze w sile 970 maszyn bojowych.

Naturalnym porządkiem rzeczy dowództwo radzieckie starało się wzmocnić obronę zagrożonego rejonu. Marszałek Woroszyłow, dowódca Frontu Leningradzkiego miał pod swymi rozkazami nie tylko doborowe dywizje Armii Radzieckiej, ale także, na zaplecze, dwumilionową ludność Le-

ningradu, gotową na wszystko w obronie swego miasta.

Toteż napór niemiecki z dnia na dzień w ciężkich zmaganiach wytracał impet.

25 września skrawione armie hitlerowskie nie były już zdolne do dalszego marszu. Von Leeb wydał rozkaz przerwania frontalnego ataku. Nastąpiło przegrupowanie wojsk i ostatnie operacje — Leningrad objęły stalowe kleszcze blokady. Front zastął w obronie.

Leningrad otoczony był z trzech stron. Jedynie od północy, poprzez wąski dostęp do jeziora Ładoga

istniało „teoretyczne” połączenie z odległą o setki kilometrów miejscowością Zaborowje — najbliższą stacją kolejową na wolnych obszarach kraju. Droga prowadziła przez bezładne wertepy pokryte gąszczem i poprzecinane grzędami.

„Teoretyczne” połączenie trzeba było jak najszybciej przeistoczyć w trakt dostępny dla samochodów. Do oblężonego Leningradu zapukał głód... Racje żywnościowe co dzień były niższe. Ta droga, to życie miasta — chleb i paliwo!

Gdy pierwsze mrozy ścięły powierzchnię Ładogi, tysiące ludzi uzbrojonych w łopaty, kilofy i siekiery ruszyło na trasę. Środkowy odcinek tej niezwyklej autostrady

przechodził przez płytę lodową jeziora. Ten właśnie odcinek o najbardziej osobliwej nawierzchni znajdował się w bezpośrednim zasięgu ognia niemieckiej artylerii. Przeciętna odległość trasy lądowej od przedniego brzoju obrony wynosiła 10 kilometrów...

Kolumna samochodów z batalionu majora Porczunowa wolno sunęła „lodową drogą”. Przecie-

(Dokończenie na str. 4)



„Droga życia”

str.

3

odgłosy

„Prawo niesprawiedliwe nie zobowiązuje sumienia..“

List z Hiszpanii od Rodriga nadszedł okólną drogą. Dostarczył go jeden z licznych przyjaciół Rodriga, profesorowi Remigiuszowi Bierzanekowi. Ten z kolei przyniósł list do Polski. Dzięki uprzejmości adresata, interesujący oryginalny dokument znalazł się w posiadaniu naszej redakcji. Prof. Bierzanek poznał Rodriga podczas jednej ze swoich podróży na Zachód.

„Rodzi się Hiszpania zupełnie inna, Hiszpania nieujarzmiona i zbawiona. Budzi się Hiszpania w topór zemsty uzbrojona, Hiszpania gniewu i idei.“

Tych to słów współczesnego narodowego poety hiszpańskiego, Antonia Machado użyto jako motto nielegalnego pisma akademickiego, frankistowskiej Hiszpanii: „UNION“ (organ U. D. E. „La Union Democrática de Estudiantes“ — Studenckiej Unii Demokratycznej, którego pierwszy — i jedyny zresztą — numer, z listopada 1957 r. dotarł do redakcji „Odgłosów“ niezwykłymi, zaiste, drogami.

Organ ten zamyka swe łamy słowami:

LA LEY Y LA CONCIENCIA

El presente número de «UNION» no ha pasado por un control, sus autores son libres de publicar lo que consideran oportuno y están sujetos a la pena de un mes y un día a seis meses de arresto mayor, alguna la sanción del delito de propaganda ilegal y está sujeto a la pena de seis meses y un día a seis años de prisión para los autores, si por los artículos, sus sumarios, cualquier otro contenido de carácter político o social, o de cualquier otra índole, se causa algún daño a la moralidad pública o a la tranquilidad social.

Niniejszy egzemplarz miesięcznika „UNION“ nie przeszedł przez cenzurę: jego autorzy są winni przestępstwa nielegalnej jego publikacji i przygotowani na kary od miesiąca i jednego dnia do sześciu miesięcy aresztu; niektórzy z nich są winni przestępstwa szerzenia nielegalnej propagandy i zagrożeni karami od sześciu miesięcy i jednego dnia do sześciu lat więzienia;

ich podpisy pod poszczególnymi artykułami są zmyślone, a ewentualna zbieżność ich brzmienia, z nazwiskami jakichkolwiek osób żyjących lub zmarłych jest dziełem przypadku.

Prawo niesprawiedliwe nie zobowiązuje sumienia!

Wypadki na Uniwersytecie Madryckim w lutym 1956 r. odbiły się głośnym echem w życiu studentów hiszpańskich. Spowodowały przede wszystkim utworzenie z rozlicznych grup jednolitego frontu demokratycznego studentów, działającego nielegalnie pod nazwą U. D. E.

U. D. E. wypowiada walkę dyktaturze, którą targają narastające z każdym dniem fermenty wewnętrzne, jak i ciężka sytuacja ekonomiczna kraju.

U. D. E. zrywa naród hiszpański do współdziałania, do niesubordynacji i biernego oporu, tak skutecznie demonstrowanych ostatnio przez mieszkańców Barcelony, Madrytu i Sewilli (protest m. in. przeciw podwyż-

ce opłat komunikacji miejskiej polegał na tym, że ludność tych miast poruszała się wyłącznie pieszo) jak i przez robotników Katalonii, Asturii i Kraju Basków. Na swoim zaś akademickim terenie U. D. E. postuluje: demokratyzację organizacji uniwersyteckich i spowodowanie zwołania kongresu, który by powołał do życia legalną ogólnouniwersytecką organizację, opartą na zasadach demokratycznych; wykorzystanie wspólnego celu walki usrupnowania o różnych orientacjach politycznych do zacieśnienia w miarę możliwości tych różnic; podtrzymywanie solidarności studento-robotniczej w walce przeciw dyktaturze.

Nielatwe to zadanie w hiszpańskich warunkach. Piśze o tym „UNION“. Studenci nie mają pieniędzy, lokali, każde ich zebranie jest zagrożone, z wielkim trudem docierają do międzynarodowych organizacji studenckich, gdzie demaskują niebываłe ograniczenie swobód uniwersyteckich, kulturalnych, społecznych i politycznych na wyższych uczelniach hiszpańskich...

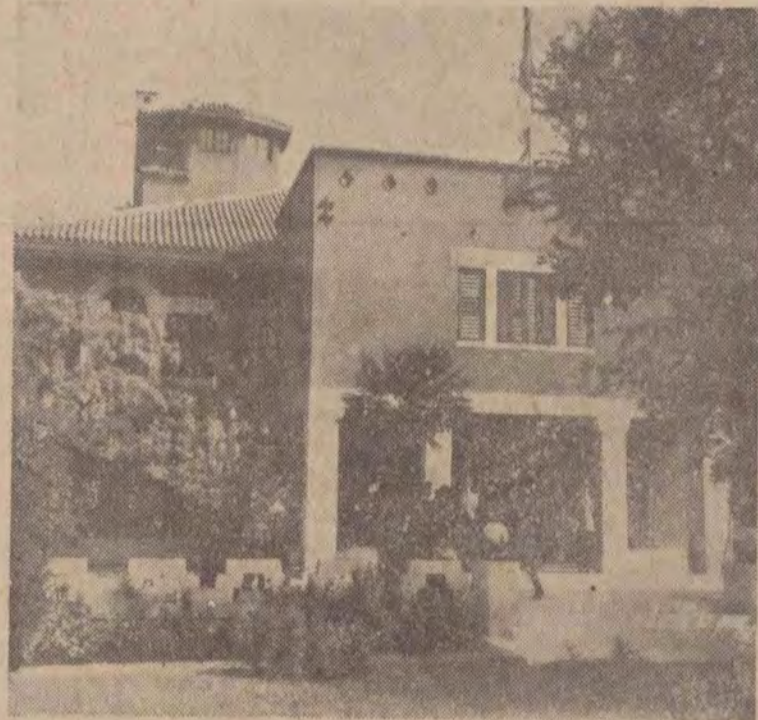
Zapał jednak i słuszność sprawy — napawają ich wiarą w zwycięstwo. Ta wiara przeniknięta są łamy ich podziemnego pisma.

W. E.



Z BELGRADU

o pogodzie, książkach i ekspedientach



Belgrad. Prywatna rezydencja prez. Tito

Odczuwam pewną treść przed debiutem na waszych łamach. Tym większą, że nie dotarły do mnie jeszcze pierwsze numery „Odgłosów“ i nie wiem jak, o czym, do kogo. Co wybrać z obfitego worka wiadomości i doświadczeń, jakie nabrałem w ciągu 3-miesięcznego pobytu?

Niewątpliwie z pewnej problematyki muszę zrezygnować. Z przykrością np. z małego ogłoszonka, które skwapliwie odnotowałby wybierający się do Jugosławii latem, na temat mianowicie, co tu daje się najkorzystniej „spuścić“. Trudno, nie zawsze można pomóc bliźnim spod znaku „kant niech się jorszą odciska“, jak mówi B. Czeszko.

Więc najpierw słowo o przyjaźni, o tym, jak powitała mnie Jugosławia, czego na każdym kroku jako Polak doświadczam. Serdeczność, uśmiech, miły gest, Myślałem przeto, że tego wymaga gościnność, jakże inaczej witać przyjeżdżającego!

Języka polskiego, z którego korzystają po dzień dzisiejszy moi studenci. Kto ciekaw biografii tego uczonego i jego poglądów na sprawę polską, niechże zajrzy do milej książki Jana Wiktora „Od Dunaju po Jadran“.

Ostatnio sfera wzajemnych wpływów poszerzyła się ogromnie. Nie ślęgam do przykładów wielkich i powszechnie znanych. Np. wiele osób nie omieszkało mi przypomnieć, jak Belgrad entuzjastycznie witał W. Gomułkę. Współpraca nawiązuje się na wielu, niekiedy zupełnie nieoczekiwanych odcinkach. Oto moi znajomi przekładają historię zwalczania polskiej stonki ziemniaczanej i przepisy o pożarnictwie...

A powodów do narodowej dumy czy podobnie wznieśniętego uczucia jest sporo. I mnie, w pierwszym tygodniu pobytu, zdawało się, że matki pokazyują mi ciągle swoim pociechom: „pazi, Polako, Poloko! Co wyklada się na polski: uważaj dziecię, idź wolno! Panna Monika Kotowska czytana jest z wypiekami na twarzy, podobnie zresztą i... Henryk Sienkiewicz.

Zeby przepelnąć czarną patriotyczną satysfakcją: w tym miesiącu ukazał się po serbsku „Dziewczęta z Nowolipiek“ P. Gajewiczyskiej, „Kariery Nikodema Dymy“ T. D. Mostowicza wciągnęły na listę przekładów aż dwa wydawnictwa. Prawdopodobnie obędzie się bez rozlewu krwi — dogadają się i „Duzma“, który w filmowej wersji szedł tu bodaj aż dwa dni zrobili rzeczywistością karierę w księżce.

Oczywiście, że w stosunku do ilości przekładów z języków zachodnio-europejskich nasza pozycja jest nadar skromna. Przyczyn — wiele. Choćby ta, że książki są bardzo drogie, przynajmniej dwa razy droższe niż u nas, a więc cena dyktuje swoistą politykę wydawniczą — drukuje się najatrakcyjniejszych autorów.

Na zakończenie przedmowy na jedną minutę do rzeczywistości sprawdzalnej obiektywnie. A to, bym nie zapominał, za bardzo przyzwyczajony się — więc niezmyślona pochwała... ekspedienta. Nigdy nie przypuszczałem, że ekspedient może być przychylny optymizmowi, źródłem zadowolenia, koncentratem uprzejmości. A jednak! Co za zmiana krajobrazu, co za rozczarowanie! O tym pisało wiele. Ale co za przyjemność ulżyć sobie zestawieniem takiego zdanka.

Trzeba było zmienić sposób transportu. Samochody dojeżdżały teraz tylko do wschodniego brzegu. Tutaj przeładowywano ich zawartość na sanie. Sanie były znacznie lżejsze i ciężar ich równomiernie rozkładał się na lodzie. Na przeciwległym brzegu znów z san na samochody. Powoli ściągały z taflı lodowej bazy materiałowe i broń przeciwlotniczą.

21 kwietnia lód przy brzegach skruszał do tego stopnia, że i sanie już przejechać nie mogły. Natychmiast wybudowano masę kładek, po których żołnierze przenosili ładunek na plecach. Wróg nie patrzył obojętnie. Strzelał.

Od rana 24 kwietnia jezioro huczało pękającym lodem. Tego dnia o trzeciej po południu wolno i ostrożnie sunął środkiem jeziora mały osobowy samochód. To opuszczał trasę jej komisarz — Józef Szykin. Za nim wycofywały się ostatnie posterunki. Trasa lodowa uległa dopiero wiosennemu słońcu.

KREW NA LODACH ŁADOGI



(Dokończenie ze str. 3)

rali trasę. We wszystkich szoferkach drzwi z obu stron były szeroko otwarte. Nagle, za mielizną Ostreczje, pod przeładowanym „Zisem“ załamał się lód. Obsługa zdążyła wyskoczyć, ale samochód pochłonęła czarna przepaść.

— Naprzód! Bokiem z prawej! — krzyknął dowódca. Zwiększyli szybkość. To ich uratowało. Lód uginał się pod kołami, ale przeszedł.

W bezpieczniejszym miejscu, upadając ze zmęczenia potęgowanego napięciem nerwów do ostateczności, przeładowali poławę zawartości każdego samochodu na podciągnięte od strony miasta sanie. Teraz mogli już spokojnie dojechać do Leningradu.

Na brzegu jeziora rybacy z podziwem kiwali głowami: — Jednak przeszli! Będzie dla miasta chleb!

Tej nocy wróg jeszcze milczał. Była to noc 23 listopada 1941 r. Pierwsze tętno arterii życia.

wrodzoną sobie systematycznością wybrali Niemcy dziewiąty kilometr trasy, jako obiekt skoncentrowanego ostrzału artyleryjskiego.

Tutaj właśnie, z południa na północ, w poprzek trasy przebiegała niebezpieczna szczelina, okolona zwalami lodu. Bezustanny wichur rozszerzał ją, to zwał. Praca na zagrożonym odcinku nie ustawała dniem i nocą. Krzyżowały się koleiny niezliczonej ilości na nowo przebijanych dróg,

poniewierały resztki rozbitych mostów, czerwieniła na lodzie zakrzepła krew.

W trzaskającym mrozie, wśród wichru i oślepiającej śnieżycy żołnierze rąbali dla samochodów przejścia w piętrzących się zwalach lodowych. Zanurzeni po pas w lodowatej wodzie budowali drewniane mosty przez szczelinę lodową. Wciąż w innym miejscu, wciąż na nowo — gdy najnielżejszy ruch lodu lub celny pocisk obracał wniwecz poprzednie wysiłki. Nadchodzące od wschodu i zachodu kolumny samochodowe trzeba było przepuszczać bez chwili zwłoki. Wśród gęsto padających pocisków śmierć zbierała obfite żniwo.

Praca legendarnego Syzyfa była nieczym wobec ich heroizmu. Żołnierze ochrony trasy przeżyli tu swe najcięższe dni. Ci, którzy przeżyli...

Dziewiąty kilometr stał się symbolem.

Najniebezpieczniejsze dla trasy były samoloty. Wybuchy ciężkich bomb lotniczych przebijaly lód i wytwarzały szerokie pęknięcia, których nie mogły przebywać samochody. Zdając sobie z tego sprawę Niemcy dokonywali zamasywanych nalotów w różne punkty rozległej trasy. Ale tuż po nich zjawiały się w miejscu zniszczonej taflı lodowej ekipy techniczne. Wśród „wodnych leńów“ po bombach skrętnie wytyczyły samochodom nowe, bezpieczne przejścia oznaczając je czerwonymi latarniami.

Niedługo, dla ochrony „lodowej drogi“, pojawiły się na trasie coraz liczniejsze stanowiska dział przeciwlotniczych i sprężonych karabinów maszynowych. Ich „okopy“ budowane były na wzór eskimoskich „igloo“ — z lodowych płyt spajanych wodą. Nic lepszego zresztą nie warto było budować. Na odkrytej piaszczynie Ładogi stanowiska szybko były wy-

krywane przez Niemców. Już po kilkurazowym otwarciu ognia zaczynała je „macać“ nieprzyjacielska artyleria. Niemal codziennie trzeba się było przenosić na inne miejsca. Pomimo to obrona była skuteczna. Coraz więcej wraków „Messerschmidów“ przymarzało do lodowej taflı.

W przednim skraju obrony cały czas toczyła się dramatyczna walka z niemieckimi formacjami usiłującymi wdrzeć się na lód i zamknąć ostatecznie pierścień okrażeńia. Wobec wszelkich nieuwodnionych prób frontального przełamania obrony Leningradu pozostawała im ta tylko, jedyna szansa — zdobyć miasto głodem.

I tu spotkało ich niepowodzenie. Bez broni pancernej, tak niezawodnej zawsze w otwartym terenie, nie mogli przełamać obrony. A czołgów obawiali się wprowadzać na lód.

XXXIX korpus gen. Schmidta podjął próbę przebiecia się na północ i połączenia, z Finami. Kierunek natarcia miał przecięć lodową partię życiodajnej arterii miasta. Jednakże szybki i skuteczny manewr radzieckich dywizji udaremnił niebezpieczny cios. Wówczas to, po raz pierwszy niemieckie wojska wycofały się „na z góry upatrzone pozycje“.

Tymczasem ze wschodu na zachód — do Leningradu — płynął nieprzerwanym potokiem samochodów żywność i ropa naftowa. Miało jej starczyć na długi czas, gdy lody Ładogi puszczą. Leningrad — oddawał krajowi część swej produkcji, stanowiącej nadwyżkę nad potrzebami obrony, ewakuował dzieci, starców, rannych. Miasto pracowało i walczyło.

Ima minęła. W czasie nocy wiosennych więcej było widać na jeziorze świateł kursujących aut,

Półki lód jako tako trzymał, trzeba było wykorzystać każdą chwilę dla przerzucenia do miasta zapasów zmagazynowanych na stacji kolejowej Zaborowje. Szoferzy nie spali po 24 godziny. W wiosennym słońcu niemieccy artylerzyści różnie zabrali się do śmiercionośnej roboty. Wzdłuż całej trasy gęsto padały pociski.

Był już 15 kwietnia. Dziwili się okoliczni rybacy, że jeszcze o tej porze mogą istnieć „suche“ drogi przez Ładogę. Drogi właściwie nie były wcale takie suche. Taflı lodowa pokryta była teraz rozległymi kałużami topniejącego śniegu. To jeszcze bardziej utrudniało służbę ruchu i zwiększało niebezpieczeństwo na trasie. Po kostki, po kolana w wodzie żołnierze wyszukwali dogodnych przejazdów. Pomimo to coraz częściej lód załamywał się i jezioro pochłaniało samochody z ludźmi, żywnością, sprzętem.

Trzeba było zmienić sposób transportu. Samochody dojeżdżały teraz tylko do wschodniego brzegu. Tutaj przeładowywano ich zawartość na sanie. Sanie były znacznie lżejsze i ciężar ich równomiernie rozkładał się na lodzie. Na przeciwległym brzegu znów z san na samochody. Powoli ściągały z taflı lodowej bazy materiałowe i broń przeciwlotniczą.

21 kwietnia lód przy brzegach skruszał do tego stopnia, że i sanie już przejechać nie mogły. Natychmiast wybudowano masę kładek, po których żołnierze przenosili ładunek na plecach. Wróg nie patrzył obojętnie. Strzelał.

Od rana 24 kwietnia jezioro huczało pękającym lodem. Tego dnia o trzeciej po południu wolno i ostrożnie sunął środkiem jeziora mały osobowy samochód. To opuszczał trasę jej komisarz — Józef Szykin. Za nim wycofywały się ostatnie posterunki. Trasa lodowa uległa dopiero wiosennemu słońcu.

RAFAŁ MALKIN



str. 4

OD REDAKCJI

Przy prozie pamiętnikarskiej „Wspominki i docinki“ w nr 7 „Odgłosów“ przez niedopatrzność zostało opuszczone nazwisko autora, którym jest Grzegorz Timofiejew. Kol. G. Timofiejewa za to przepraszamy.

RED.

CZY TELEWIZJA ODZWYCZAJA OD MYŚLENIA?

W ODPOWIEDZI

PRZECIWNIKOM

SZKLANEGO

EKRANU

Wykłe tak się dzieje, że każda nowość ma swych zaprzysiężonych zwolenników i co najmniej tyle samo przeciwników. Ta tradycja w wypadku telewizji bynajmniej nie została naruszona. W USA, w pewnych bardzo ekskluzywnych kołach, posiadanie telewizora zalicza się do „złego tonu”, podobna sytuacja istnieje w Anglii. Podnoszą się głosy krytyczne: „Telewizja odzwyczaja od myślenia”, „rozleniwia”, „osłabia zmysł krytyczny”, „rozrywka dla idiotów”, „telewizja nie jest samoistną sztuką, nie przynosi tych samych wartości, jakie daje bezpośredni kontakt ze sceną” itd.

Te krytyczne głosy mają już w Polsce wielu zwolenników. Przy tym każdy z krytykujących rozpatruje sprawę wyłącznie z własnego punktu widzenia, na przykładzie własnych upodobań, przyzwyczajęń.

Nie mam bynajmniej zamiaru twierdzić, że z żadną podaną uwagą krytyczną się nie zgadzam. Nie. Na pewno jest w nich część prawdy, lecz wydaje mi się, że inne są kryteria oceny telewizji jako zjawiska tam, na Zachodzie — i u nas. Co chce przez to powiedzieć? Otóż, nie można porównywać stylu codziennego życia mieszkańców Polski i np. Anglii, bo jest on różny w zasadniczym stopniu, uwarunkowany środkami materialnymi, wysokością stopy życiowej. To raz. A po drugie, wielkie firmy telewizyjne pracują z myślą o maksymalnym zysku — stąd być może, ich program podporządkowany zasadom komercyjności budzi zastrzeżenia odbiorców.

Kampanię przeciwko telewizji muszą prowadzić właściciele wielkich wytwórni filmowych, zmuszeni do wydzierżawiania swoich atelier, czy nawet ich sprzedaży — właśnie firmom telewizyjnym; spadek frekwencji w kinach przyprawia właścicieli o bezsenność. (Tak jest. Nikt nie przewidywał, że telewizja tak szybko stanie się groźnym konkurentem, stąd wielkie rozczarowania finansowe niedawnych potentatów X muzy).

Przeciwnicy telewizji podnoszą często następujący zarzut. Mówią, że zawsze teatr i kino będą cenili naj-

bardziej, wobec czego telewizja nie jest im do szczęścia potrzebna.

Takie przywiązanie do sztuki teatru i filmu należy na pewno bardzo pochwalić, ale nikt przecież nie przypuszcza, że telewizor może całkowicie odebrać właścicielowi ochotę uczęszczania do kina i teatru? Na pewno żaden z miłośników dziesiątej muzy nie zadowolony się innym ekranem, kiedy ma do dyspozycji duży, w kinie, jak również nikt z koneserów sztuki teatralnej nie powie, że woli spektakl oglądany w telewizji niż w teatrze. No, ale nie bywamy w teatrze i kinie co wieczór, nie wszystkie spektakle oglądamy. Tylko mały procent społeczeństwa odczuwa „głód teatru” odwiedzając go systematycznie. Ta nieporównanie większa grupa stroniąca od teatru, gdyby miała okazję częstych spotkań ze sztuką teatru przed telewizorem może zdołałaby ulec „głodowi” bezpośredniego obcowania z aktorem, może telewizor spowodowałby do systematycznego odwiedzania teatru?

Czy telewizja osłabia zmysł krytyczny?

Niech na to pytanie odpowie wynik przeprowadzonych badań. Stwierdzono więc, że o ile w pierwszych miesiącach po nabyciu telewizora widz przyjmuje program w sposób bezkrytyczny, wypływający z emocjonalności przeżywania spotkania z atrakcyjnym wynalazkiem we własnym mieszkaniu, to już po kilku miesiącach, kiedy „wabik” nowości przestaje działać, wymagania nowego widza gwałtownie wzrastają.

I jeszcze jedna grupa malkontentów. Tych mianowicie, którzy nie rozumieją sensu zbudowania nowoczesnego atelier telewizyjnego w Łodzi. Co mówią? Łódź oddalona jest od Warszawy zaledwie o 130 km, poziom audycji nadawanych z Warszawy i przekazywanych za pośrednictwem stacji przekaznikowych do Łodzi stoi już na wysokim poziomie

technicznym, stolica ma potężne zaplecze aktorskie, interesujące teatry, ciekawe imprezy, kadry wykwalifikowanych reżyserów itd. Co Łódź może temu przeciwstawić? Należało pozostać w dotychczasowych pomieszczeniach i nie kusić się o rozbudowywanie programu, oprzeć się na programie warszawskim, program własny ograniczając do — pewnego rodzaju miniatur czy aktualności.

Znowu więc spotykamy jakies ograniczone spojrzenie na problem. A przecież od tygodni toczy się na łamach lokalnych pism dyskusja, czy Łódź jest miastem kulturalnym, czy nie? Jeśli nie — to jakie środki należy przedsięwziąć, aby się nim jak najszybciej stała? Oto jeden z środków: nowoczesnie wyposażona placówka artystyczna — nowe studio telewizyjne.

Łódź jest drugim wielkim miastem Polski. Posiada 7 teatrów dramatycznych, operę, operetkę i 2 teatry lalek, wytwórnię filmową, szereg szkół artystycznych, i... wiel-



Kamery telewizyjne w szpitalu

Fot. Krzysztof Romanowski

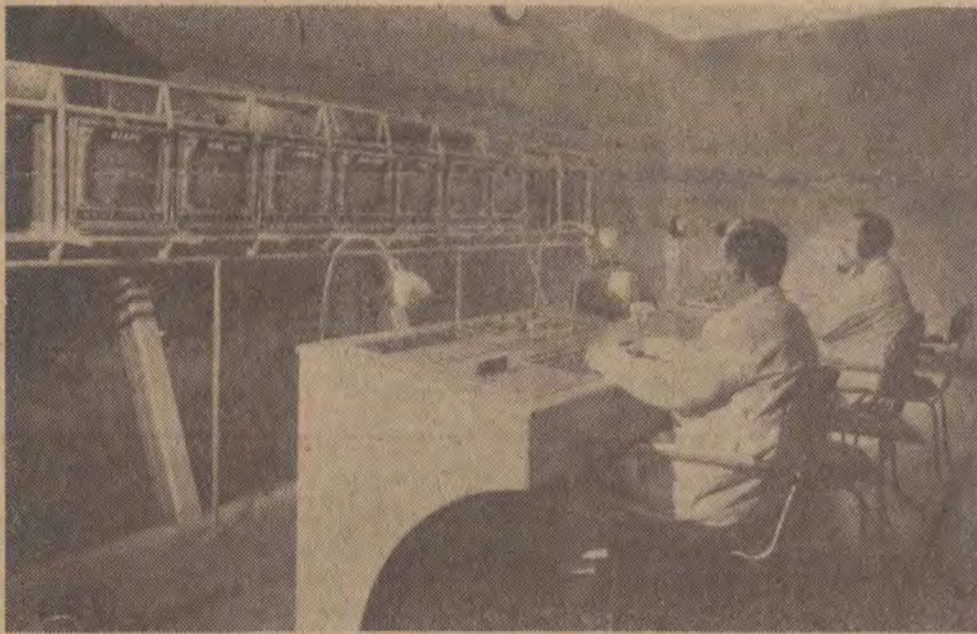
kie zaniedbania kulturalne swych mieszkańców. Dlatego zadania w pracy programowo-artystycznej stoją przed telewizją w Łodzi daleko poważniejsze niż gdzie indziej. Aby je realizować, aby w najpełniejszy sposób wykorzystać znakomity wytwórca w walce o rozwój kulturalny społeczeństwa,

trzeba, by nowy ośrodek sztuki dysponował nowoczesnymi urządzeniami technicznymi, które — jak w żadnym innym przypadku sztuki mechanicznego odzwierciedlenia rzeczywistości — warunkują racjonalną pracę.

W momencie uruchomienia nowego studia telewizyjnego pracownicy sztuki

w Łodzi otrzymują nowy, wdzięczny warsztat pracy, stają nowe zadania przed pisarzami, reżyserami, aktorami, scenografami. Realne staje się przekazywanie cenniejszych przedstawień teatralnych, a rozmiary nowego atelier nie stawiają pod tym względem żadnych ograniczeń.

Oto realne korzyści dla miasta i jego mieszkańców. Wszystkim tym, którzy narzekają na telewizję z powodu jej słabego programu warto by kiedyś poświęcić oddzielny artykuł. Muszę powiedzieć, że z wszystkich wymienionych tu krytycznych uwag ta w jakimś stopniu mnie przekonuje. Na pewno pod tym względem czeka realizatorów programu ogromna praca. Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym nie zwrócił równocześnie uwagi, że żadnych specjalistów programu telewizyjnego w Polsce przecież nie mieliśmy, że wszyscy dopiero się jej uczymy w jednakowym stopniu, że dotychczasowy warsztat tej nauki w Łodzi był więcej niż prymitywny, był wręcz śmieszny. Dlatego przy próbie oceny, przy próbie porównywania programu Łodzi i Warszawy ta zasadnicza okoliczność nie może być pominięta.



Nowe studio. Pokój realizatora-wizji

• AKTUALNOŚCI TELEWIZYJNE • AKTUALNOŚCI TELEWIZYJNE •

interesujących pozycji, jakie oglądaliśmy na ekranach telewizorów w ciągu ostatnich kilkunastu dni wymienić należy przede wszystkim jednoaktówkę — „Apolo z Bellec” — Giraudoux. Warszawa nadała uroczą komedię francuskiego autora w ciekawej reżyserii A. Hanuszkiewicza i doskonałej obsadzie z Jackiem Woszczerowiczem i Kaliną Jedrusiuk na czele. Uroczy żart poetycki o „próżności, miłości i tęsknocie do piękna” został zrealizowany w scenograficznie pomysłowy sposób. Polegał on na wykorzystaniu w dekoracji zdjęć fotograficznych w ogromnym powiększeniu. Dzięki temu rozszerzono ramy czasowego studia, uzyskując pełne złudzenie wielkiego hallu, w którym rozgrywała się akcja. Jeden z najciekawszych spektakli w młodej historii polskiej telewizji doczekał się wielu zgodnych, pełnych superlatywów, recenzji.

Na pochlebna ocenę zasługuje jeszcze całowieczorowy

program prima-aprilsowy, również w reż. A. Hanuszkiewicza. Program trwający ok. 3 godzin prowadzony przez A. Łapickiego został zmontowany pomysłowo i nie zabrakło w nim stałych punktów warszawskiej telestacji, takich jak dziennik telewizyjny i prognoza pogody „prof. Wicherka” — tylko naturalnie w odpowiednim pierwszokwartalnym wydaniu. Wydaje się tylko, że teksty mogłyby być dowcipniejsze, wywoływać więcej szczerzego śmiechu. Ale cóż, brak dowcipnych tekstów jest nie tylko boleścią telewizji.

Wymienić również należy inscenizację noweli Londona „Meksykanin”, jako spektakl nieudany (reż. z Warszawy). Wydaje się, że popełniono błąd podejmując realizację tego tekstu. Jak sobie przypominamy najważniejszą częścią noweli jest walka bokserka. Ta okoliczność stała się przed aktorami dodatkowe wymagania opanowania — w pewnym choćby stopniu — trudnej sztuki boksu, mecz bokserki to oprócz tego hala, tłumy ludzi itd. Te

wymagania nie zostały spełnione w stopniu możliwym do przyjęcia, kamera telewizyjna wykryła z identyczną precyzją, co kamera filmowa każdą próbę fałszowania realiów.

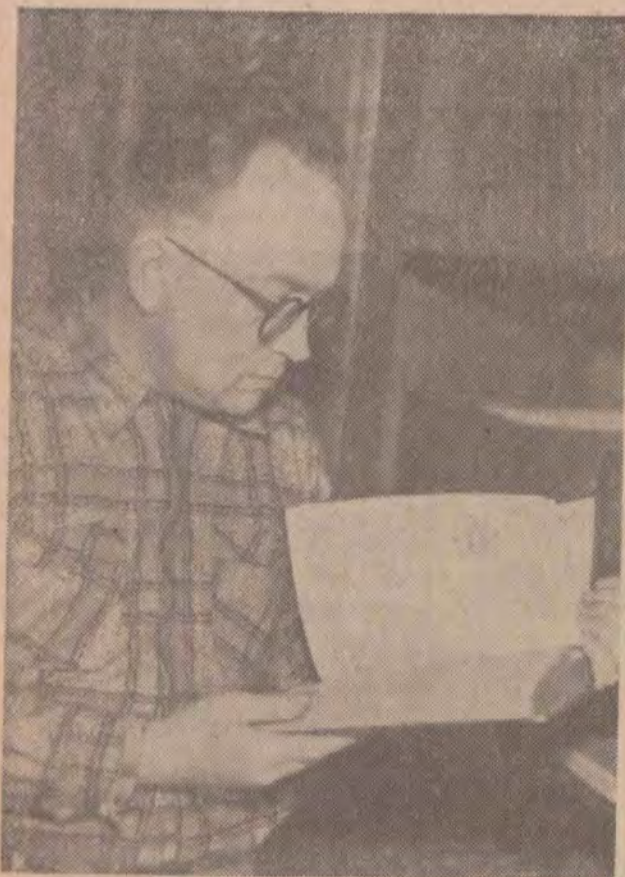
Wzrost i pół miliona widzów oglądało czterdziestominutową audycję napisaną specjalnie dla „Prywatnej Telewizji Brytyjskiej” przez powieściopisarza Johna Priestleya. Temat? Wskutek nieuwagi, na miasto w którym mieszka pan D. zostaje zrzucona bomba wodorowa. Zona i dwie córki bohatera sztuki żyją, lecz są straszliwie okaleczone. Pan D. rozstrzelany jest z pistoletu, ostatnim nabojem odbierając życie sobie. Dalszy ciąg rozgrywa się w mitycznym sądzie niebiańskim. W czasie procesu, po wielu perypetiach, pan D. zrozumiał, że tragedia nastąpiła wskutek jego OBOJETNOŚCI. Ostatnie słowo w tym spektaklu ma speaker. Apeluje on do słuchaczy słowami: „Nie tylko ta rodzina, lecz wszyscy wy — miliony

słuchaczy — powinniście dyktować i — DZIAŁAC. Powtarzam — spektakl oglądało 6,5 miliona widzów w Wielkiej Brytanii, z czego 67 proc. wypowiedziało się za bezwarunkowym zakazem broni atomowej. Oto potężna siła oddziaływania „małego ekranu”.

Odbiorcom programu telewizyjnego zwracam uwagę na kilka interesujących pozycji, jakie między innymi mogą obejrzeć do końca b. miesiąca. A więc: reportaż z okazji jubileuszu 20-lecia Muzeum Narodowego, „Nowy Don Kichot” — A. Fredry, audycja poświęcona K. Szymanowskiemu, „Nasze miasto” — Wildera, oraz transmisja uroczystej akademii 1 Maja z sali Kongresowej. Wszystkie audycje — niestety — z Warszawy. Uruchomienie nowego studio w Łodzi jest wprawdzie sprawą najbliższej przyszłości, dopóki to jednak nie nastąpi — nie może być mowy o rozpoczęciu realizacji własnych zamierzeń programowych.



Nowe studio. Próba kamer telewizyjnych



Fot. L. Olejniczak

ZAPISKI Z DWUDZIESTOLECIA

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

FUTURYŚCI W ŁODZI

Stare to dzieje — był rok 1921 czy też 1922. W poezji polskiej ścierały się wówczas gwałtownie różne nurty, prądy i kierunki, a jednym z nich był nurt futurystyczny, ani szeroki, ani głęboki, ale w zamian za to hałaśliwy. Przywódcy tej grupy urządzali w większych miastach kraju — dla celów propagandowych i polemicznych — wieczory autorskie, bez istotnego zresztą powodzenia. Pewnego pięknego dnia zawitali i do Łodzi, organizując taki występ w sali dzisiejszej Filharmonii. Na afiszu — jako nie lada atrakcja widniało nazwisko Ireny Solskiej, która miała recytować niektóre wiersze.

Niezbędna liczna publiczność zbierała się ospale. Warszawscy goście: Bruno Jasiński, Anatol Stern i jeszcze jeden czy dwóch innych, których nazwisk nie pamiętam, na zmianę siadali u wyjścia jury improwizowanej Kasi, bądź też kreślił się po sali. Publiczność przyglądała się im ciekawie. Rogów na głowie wprawdzie nie mieli, ale jeden z nich (mniej więcej o to — który) budził zdziwienie twarzą mocno uszmiękaną. Być może i ten „numer“ należał do programu, zresztą — nie było czym się gorszyć, skoro pewien futurysta na podobnym występie w Wiedniu ukazał się w stroju mniej niż kąpielowym i bez figowego listka, narażając się na proces o obrazę moralności publicznej.

Gwoździem wieczoru stał się dziwny wiersz recytowany przez Solską. Wiersz składał się zaledwie z paru — powtarzanych dość długo — słów: „I tu i tam — i tu — i tam — i tu — i tam...“ „Bzdura“ — powiecie. Zapewne. Ale znakomita aktorka zrobiła z tej bzdury jakiś osobliwy majstersztyk, coś w rodzaju tzw. wokalizacji, czyli pieśni bez tekstu słownego. Modułując głos na sposób nieskończonego rozmaitości, Solska — tą zmiennością barwy i natężenia dźwięku — sugerowała co wrażliwшему słuchaczowi obrazy, wizje i skojarzenia,

najbardziej zgodne z jego osobowością psychiczną. Choć nikt nie nie rozumiał, posypały się rzęsiste brawa.

Poza tym Solska i futurystów recytowali jeszcze wiele innych wierszy, ale treść i sens ich trudno było zapamiętać. Trafiały się w nich dość często wyrazy — powiedzmy — niecenzuralne, co miało zapewne „rozruszać“ publiczność. Oczywiście tej funkcji nie spełniała już Solska. Ale publiczność pozostawała na ogół obojętna i nie manifestowała bynajmniej zachwytu i entuzjazmu. Opuszczano salę — po skończonej imprezie — z uczuciami mieszanymi: jedni w nastroju, który określić by można słowami „Bując to my“, drudzy — z pobłażliwym wzruszeniem ramion, jeszcze inni śmieli się głośno, kreśląc znacząco kółka na czole.

Nie wydaje się, by ten występ poetów — futurystów zjednał im w Łodzi wielu zwolenników. Grunt naszego pracowitego miasta nie był jakoś podatny na tego rodzaju nowinki. Istotnie, poeci łódzcy owych czasów, niezależnie od dzielących ich różnic skalę talentu, postawy artystycznej i doboru środków warsztatowych — stronili raczej od futurystycznego nowatorstwa, nie upatrując w nim drogi do realizacji własnych celów i zamierzeń. Nie uganiali się za chimerami, nie wszczynali burz w szklance wody, nie szukali też w bańkach mydlanych. Bliższa im była rzeczywistość konkretna i nie przechodzili obojętnie mimo jej społecznych treści.

Zresztą, futurystyczny, z natury swej spóźniony i epigoniczny — wkrótce „rozszedł się po kościelach“. Nasi futurysty dość szybko ustakowali się, porzucili dziwaństwa, zaczęli pisać z sensem i do rzeczy. Dotyczy to przede wszystkim Brunona Jasińskiego, którego talent miał zabłysnąć niebawem. Co więcej, Jasiński zdecydowanie zajął miejsce w szeregu pisarzy lewicy i wyraźnie określił swą postawę polityczną. To właśnie, jak wiemy, bardzo skomplikowało jego losy osobiste, które zakończyły się tragicznie w okresie wielkich berlowskich prowokacji.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Tadeusz Chrościelewski wydał w roku 1956 tom wierszy „Najmilsze strony“, poza tym ma w swoim dorobku szereg przekładów z literatury rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej i radzieckiej.

- Co Pan wydaje w najbliższym czasie?
- Nowy tom wierszy „Itaka“ w Wydawnictwie Łódzkim, a także przekład powieści Aleksieja Tołstojego „Upiór“.
- A jakie zamary na przyszłość?
- Tom wierszy „Wyspy błogosławione“ i zbiór opowiadań autobiograficznych.

Odzyskany pejzaż

Ofruwających ptaków cienie
Biegają przez łąki jak legendy.
Pod murem kościoła szumią gniewnie
Kudlatokarkie, ryżę dęby.

Mgły zakipsiały z kwaśnych garów
Łąk nadodrzańskich. Spójrz. Na kirsze
Skrzydłem rozdartym od pożaru
Tęsknie blaszany ptak kołysze.



Szczara

Ej, mości panie kartografie
Schylony z kredką nad dalekim,
Lepiej od ciebie dziś potrafię
Malować brzegi tamtej rzeki —

Bierze się księżyc, szufłę cienia,
Sążeń białego tataraku,
Bańkę cerkiewki, łut wspomnienia,
Zwalony wiatrak pełen wiatrów,
Bań o studziencie i dziewczynie,
Bukieć krwi na cembrowinie...



Kuflew

Długosz mówi, że — miasto,
A to półko jarmużu,
I kartograf w owiesek
Wpisał rynek bez racji...
Wiem, gdzie błędy przyczyna.
Popatrz — zastęgi na wzgórzu
Głóg czerwony jak pieczęć
Starodawnej lokacji.



Miasteczko, do którego nie wracam

Pamięć zmarłych z Wąwolnicy.

Złote strzechy o skrzydłach kurzych
Zeszły rządkiem w kosmaty wąwóz;
Trzeszczał wasąg i długo dzwonił
Ciemny kościół w siwe powietrze...
Niebo wzbiera, kłębi się, burzy...
Gdym odjechał — natychmiast powódź...
Zatonęło i stale dzwoni
Przez zieloną, przejrzystą przestrzeń.



Pole bitwy pod Dembem Wielkim

Ono dziś leży tylko w księżce
Złótkiej i tak jak siano kruchej,
Lecz nie przy drodze, gdzie powtarza
Tłustą pszenicę tępy oblok...

Rwie pułk na przestrzał przez skubiącą
Leniwie płaski kłos dziewczuchę.
Przystaje — ani ją przeraża,
Ze granat padł i pęka obok.

Ilustrował Józef Skonieczny.

Czy kobiety powinny pisać wiersze?



W moim zdaniu, nie powinny pisać wierszy Matki — Polki, Zony — Polki i polskie pensjonarki. Otwierając tomik wierszy napisanych przez kobiety, czuję zawsze niejasny lęk. Boję się, że w jego autorce odnajdę jeszcze jedną naśladowczynię Kopnickiej lub, w najlepszym wypadku, Pawlikowskiej. Jeszcze jedną panią, zapisującą dość tanie wzruszenia miłosne czy macierzyńskie. Niestety, pisanie wierszy wymaga większej odwagi. Nie posiadającym tej odwagi nie radzę podejmować trudu przedzierania się przez gąszcz metafizyki, nie radzę spoglądać w twarz Natury. Przy czym należy stwierdzić, że odważnych mężczyzn także jest niewiele.

Anna Pogonowska jest poetką odważną. Potwierdza to jej nowy tom*, ofiarowany nam przez „Czytelnika“. Odwaga Anny Pogonowskiej polega przede wszystkim na ostrości widzenia. Materiałem tej poezji są kształty, barwy i dźwięki realnego świata. Poetka nie kreuje świata, nie stwarza go na nowo. Tylko zapisuje. Jest to zapis poprawny, wierny i Anna Pogonowska mogłaby narazić się na zarzut banalności, gdyby nie zadziwiająca siła, którą nadaje ona słowom. Oto przykład:

Świrszczyce, pająki
i żuki owalne
Dławią trąby złociste
i muzyczne skrzynie
Jak piękny się unosi
jak oblok ponad
Rojem czarnym Gąszcz,
który się rozwinię
Ogniem

Niewątpliwie ograniczonym realiom tego fragmentu przydana została nowa wartość. Wartość ta trudna jest do zdefiniowania. Proszę jednak zauważyć, że słowo nie jest w tym wierszu użyte w celu stwierdzenia. Posiada ono wartość samostanną, drga i pulsuje, znaczy więcej, niż znaczyć by winno — a jednocześnie naraziłby się na śmieszność ten, kto chciałby znaczenie jego — poza tekstem — ustalić. Znajdujemy się w jakimś

* Anna Pogonowska „Kreśli“, „Czytelnik“ 1958.

„barwistanie“ młodzieńczych wierszy Tuwima. Powiedzmy więcej — wiersze Anny Pogonowskiej pokrewnie są w sposobie traktowania słowa poezji francuskiego nadrealizmu i — przede wszystkim — wielkiemu mistrzowi nadrealistów, Rimbaudowi. Powtórzmy raz jeszcze: poetka posiada odwagę widzenia. Poddaje się żywiołowi barwy, deituje odtworzyć i zamknąć w strofie niepochwytne wrażenia chwili. Stąd w jej wierszach ów nieustanny, przyspieszony przepływ obrazów. Przepływ, chciałoby się rzec, filmowy. Stąd też maksymalne uproszczenia składni posługiwane się zdaniami pojedynczymi lub równoważnikami zdania. Tutaj jeszcze jeden przykład:

Na fotelu skurczona tkwią,
A radio trzaska.
Błyskawice ciemności.
Orgle ludzkich głosów.
Fraza lekka uderza,
Muzyka Muzyko —

Ta poezja posiada, żeby użyć słów autorki, „ostre czułki materialne“. Nie posiada natomiast — ostrych czulek intelektualnych. I jest przez to troszeczkę anachroniczna. Tam, gdzie autorka usiłuje wnieść złożone konstrukcje intelektualne, wynik bywa, niestety, nieciekawym. Konstrukcje te są bowiem albo pretekstem dla ukazania nowej barwy słowa — jak w skądinąd bardzo pięknym wierszu „Ró-

ża“, albo też grzeszą banałem — jak poematy z cyklu „Liryka retoryczna“. I jeśli w jakiś sposób mogą wyobrazić sobie piekło katolickiej poetki Anny Pogonowskiej — to widzą je jako białoczną przestrzeń bez dźwięku, w której mieszkają smutni retorzy.

Nie wymagamy jednak zbyt wiele. Wbrew poetce, mówiącej „Metaforę stawiam jako „wynik obliczeń“, nie żądamy, by jej wiersze — błyski, wiersze — eksplozje, wiersze — „rozjarzenia chwil“, były — obliczeniami. Anna Pogonowska odnalazła siebie w nurcie poezji post-rimbaudowskiej i dzięki temu — jak mi się zdaje — zdolna napisać wiersze tak mocne i odważne, jak „Chimery kamienne“, „Anna Samotrzeć“ czy cykl „Lato“. Niechaj więc nadal ze złością zaprawdę kobiecą odwagą wkracza w chaos przyrody, między toniejące barwy i rozpadające się kształty.

I jeszcze słów kilka od recenzenta. Ten artykuł pisałem — parafrazując słowa Bardzo Groźnego Krytyka — bez taryfy prowincjonalnej. Anna Pogonowska jest poetką, która posiada styl. Dlatego też nie wydało mi się stosownym ocenianie jej tomu przy użyciu słów uprzejmych a fałszywych, którymi prowincjonalni krytycy jakże często zachwalają prowincjonalnych poetów.

J. M. R.

Narodowa szkoła obłapki

(Dokończenie ze str. 1)

Tradycyjalne — powiadam i sam się temu słowu dziwię. Bo za prawdę, dziwną jest ta tradycja, do której odwołuje się tym razem Kazimierz Dejmek.

My, Polaczkowie, kochamy tradycję. Oczywiście, wymawiając to słowo, przywołujemy natychmiast na pamięć, jak powiada Mrozek, różne „narodowe skoki”. A więc skok Księcia Józefa w nurty El-

nę kuszenia Józefa. To była świetna szkoła obłapki.

Wypada polecić teraz to widowisko wszystkim tym, którzy kochają język jędrny a zjadliwy i których nie będą gorszyć sprośne koncepcje autorów. Autorzy są zresztą bezpieczni. Spoczywają pod warstwą ziemi i nie dosięgnie ich srogi gniew cnotliwców. Natomiast obawiam się poważnie o

spalą Dejmka! Śmierć na stosie jest wysoce szlachetnym rodzajem zgonu. I jakże przy tym teatralnym. Widzowie bawiliby się znakomicie. A czyż może o coś innego chodzić twórcy takiego widowiska?

Tym wszystkim, którzy uważają, że Mrozek kłał tradycję Tysiącletniego Narodu Polskiego, a inni jego mowę, wstęp do Teatru Nowego winien być wzbroniony. Panienci z różowego pokoiku (jeśli gdzieś uchowałyście się jeszcze w tym straszonym wieku zgorzienia!) Panno Janino Pregerówna! Belfrzy z Rzeszowa! Nie oglądajcie „Żywota Józefa”! Zgorzycie się, ja wiem. Nic w tym zresztą dziwnego. To przecież wy, cni rzeszowianie, wyklinający bezceństwa epoki, wykladałście nam w szkołach „Odprawę posłów greckich” jako fragment dziejów społeczno-gospodarczych Polski. Ale my już wiemy, i za to raz jeszcze wypada podziękować całemu zespołowi Teatru Nowego — że Rej i Kochanowski, i rybale, nie gardzili wesołą i sprośną fraszką. Czemu na dowód kładę tutaj dwie strofy z wiersza Jana Kochanowskiego „Do dziewczki”:

Nie uciekaj przede mną, dziewko urodziwa,
Serceś jeszcze nie stare, chocia broda siwa;
Choć u mnie broda siwa, jecz czem niezganiony,
Czasnek ma głowę białą, a ogon zielony.
Nie uciekaj, ma rada; wszak wiesz: im kot starszy,
Tym, pospolicie mówią, ogon jego twardszy;
I dąb, choć mieścy przeschnię, choć list na nim płowu,
Przedsię stoi potężnie, bo ma korzeń zdrowy.

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ

Mikołaja Reja z Nagłowic ŻYWOT JÓZEFA. Widowisko staropolskie w 2 częściach intermediami, muzyką, tańcem i śpiewem ozdobione. — Opracowanie dramaturgiczne, inscenizacja i reżyseria: KAZIMIERZ DEJMEK. — Scenografia: ZENOBIUSZ STRZELECKI. — Muzyka: WITOLD KRZEMIENSKI. Prapremiera w Państwowym Teatrze Nowym



ŻYWOT JÓZEFA. Achiza — Danuta Maleska, Potyjar — Zygmunt Zintel, Zefira — Barbara Rachwańska.

stery i skok dzielnego rotmistrza Koziełuskiego, i skok na Monte Cassino. Tak sobie a Narodowi Polakom skacząc, woliłmy nie wspominać niezbyt chlubnych czynów pana Paska i erotycznych zabaw Jana Andrzeja Morsztyna, podskarbiego Korony. Tymczasem Kazimierz Dejmek ten drugi nurt tradycji przypomnieć nam zechciał. Oto więc macie swoją tradycję. Polaczkowie, tradycję obłapki i świntuszenia. Przyznajmy, że ta tradycja bliska nam jest i droga, choć niechętnie nasze czułe dla niej uczucie ujawniamy. I dlatego napisałem, że „Żywot Józefa” jest widowiskiem współczesnym.

całość skóry Kazimierza Dejmka. Ostatnio panuje u nas moda podpalania stosów. Boję się więc, czy droga Kazimierza Dejmka nie jest drogą „nowych męczenników”. Sandaure i Hłaski. Zresztą, niechaj

Współcześnie może jeszcze, niż wszystkie sprośności, zawsze przecież młode, zabrzmiały w tym spektaklu teksty intermedii. Myślę przede wszystkim o nieszpikowanym przeróżnym aluzjami politycznymi „Sejmie Piekielnym”, który posłużył Dejmekowi jako materiał dla wypowiedzi publicystycznej. Podobną rolę spełniało drugie intermedium — „Nędza z Biedą z Polski idą”. Zbyt już jednak serio zostało ono potraktowane i zbyt chyba przetrzęsła symboliką posłużył się przy jego realizacji inscenizator. A przecież na tekst samego Reja potrafił spojrzeć z pólusmieszkiem, rozumiejąc, że przez wieki zmienił się i język, i obyczaj (choć ten mniej może, niż sądzimy). Za nie więc wziął sobie Kazimierz Dejmek Rejowe rady moralne i „Żywot Józefa” wykorzystał, by wy dobyć z niego poezję — niekiedy naprawdę czystą, przeczystą — i by nas zdemoralizować czym szybciej. Zamysłowi reżysera sekundowali w tym widowisku dzielnie i scenograf, i kompozytor, i aktorzy. Zenobiusz Strzelecki zbudował bardzo lekką dekorację i podzielił scenę na trzy celki, odwołując się do tradycji teatru staropolskiego. O aktorach wolałbym nie pisać. Zbyt wiele epizodów zagranych było naprawdę znakomicie. Wymienię więc tylko Bogdana Baera, który był wielce cnotliwy i zdewocjały i znakomicie wykpiwał wszelką cnotę i dewocję, i Barbarę Rachwańską, która grała Zefirę. Baer i Rachwańska zagrali naprawdę prześlicznie se-

TYLKO DLA NAIWNYCH

MARIAN PIECHAŁ

W ten owo powyższy tytuł pochodzi od Boya-Zeleńskiego, który specjalny artykuł napisał na temat słów cienkich i grubych w powszechnym użyciu i w literaturze, no i oraz jako znany gorszytel rodzimej dulszczyzny stanął oczywiście w obronie słów grubych. Lecz, miły Boże, jakież to były wtedy te grube słowa? Śmiech po prostu bierze. To była cikliwa limoniada lub poczęsna serwatka, co najwyżej żentycu, w porównaniu z ostrym bimbrem, zapierającym dech denaturatem lub po prostu żrącym zajązajem dzisiejszych wyrażań i powiedzonek.

Nie chodzi tutaj o pornografię, nie. Ani też nie chodzi o inne gorszące opisy scen pijackich, chuli-gańskich, bandziorskich czy innych i tym podobnych. Chodzi po prostu o same wyrażenia, o sam język, jakim są napisane znakomite nieraz utwory literackie, nie tylko rodzime, ale i oraz, a zwłaszcza, zagraniczne. Chodzi przecież nie o to, żeby w ogóle grubych słów nie używać i bać się ich, jak diabeł święconej wody. Ludzie, zrozumta mnie, na Boga, nie o to chodzi! Wszak nawet Biblia zawiera ich tyle, a oraz i takich, a zwłaszcza owakich, że aż uszy puchną, nie mówiąc już o Szekspirze w najznajomościjszych jego utworach, takich jak chociażby „Hamlet”, a oraz i „Romeo i Julia”, a zwłaszcza „Król Lear”. No więc ostatecznie o co tu chodzi? Chodzi o funkcję, czyli rolę, czyli znaczenie tych grubych słów, tych nieprzyzwoitych wyrażań w zdaniu literackim, w dziele pisarza, Chodzi o to, żeby użyć ta-

kiego słowa czy wyrażenia było przez pisarza usprawiedliwione artystycznie w jego dziele. Wtedy wszystko jest w porządku. Jeżeli jednak nie jest usprawiedliwione artystycznie, to takie słowo, a i oraz wyrażenie, a zwłaszcza plugastwo jest plugastwem. I tylko plugastwem. Tak, tylko plugastwem, a i oraz plugastwem, a zwłaszcza plugastwem!

I jeżeli Boy-Zeleński bronił grubych słów, to tylko i jedynie w takim znaczeniu, co też, a i oraz, a zwłaszcza i my tutaj czynimy. Bo jeżeli nasz czigodny Jan Kochanowski w znanej fraszkce mówi:

„Ziemie pomierzył i głębokie morze,
Wie, jako wstają i zachodzą zorze,
Wiatrom rozumie, praktykuje komu,
A sam nie widzi, że ma kurwę w domu”

to tutaj to brzydkie słowo ma najwyższe artystyczne usprawiedliwienie, a i oraz, a zwłaszcza można powiedzieć, że jest niejako nobilitowane do rangi elementu poetyckiego czyli warunku sine qua non całego dowcipu czyli sensu powyższego utworu. Jakiego? Moralnego. Tak, moi drodzy, moralnego! To brzydkie słowo wyraża tutaj najwyższy sens moralny utworu.

Ot, widzicie, jakimi to krętymi i nieraz kontrastowymi sposobami posługuje się sztuka, a i oraz sztuka w ogóle, a zwłaszcza sztuka słowa pisanego. A wy nieraz tak łatwo i pochopnie zabieracie się do sądenia, a i oraz do odsądzenia od czci i wiary tego i owego pisarza, a zwłaszcza jego utworu, szczególnie wtedy, kiedy go nie rozumiecie, albo wtedy, kiedy na jego wartości istotnej czyli artystycznej nie umiecie się poznać?

to był człowiek o wielkim smaku artystycznym, mimo że lubił, jak to mówią, „poświátuszyć”, ale różnił to zawsze w sposób artystycznie usprawiedliwiony.

Młodzi pisarze polscy czytają współczesne powieści francuskie, a i oraz angielskie, a zwłaszcza amerykańskie, gdzie pełno słów grubych, a i oraz plugawych, a zwłaszcza wyrażań ordynarnie nieprzyzwoitych. U Malraux, u Sartre'a, u Hemingwaya, u Steinbecka, u Faulknera, u Caldwellella pełno tych soczystych słów, olekających słówek, zawieszistych wyrażań, i to w ich dziełach najlepszych! Ale — o młodzi pisarze polscy! — zastanówcie się, czy są one u nich usprawiedliwione artystycznie? A czy u was są one usprawiedliwione artystycznie? Bo jeżeli nie, to jest to plugastwo, a i oraz tylko plugastwo, a zwłaszcza świadomie plugawe plugastwo, które czytelnik potępi i odrzuci i już odrzuci, a i oraz historia skaże na zapomnienie, a zwłaszcza ostatecznie i nieodwołalnie na wieczne i wieczyste wieki wieków amen.

Z tych to owo obywatelskich bardzo żywotnych i na czasie względów ja osobiście głosuję na wszelki wypadek za słowami cienkimi, a przeciw grubym! A ty, uroczą czytelniczko — gólabko i synogarliczo? A ty, miły czytelniku — młody niecierpliw byczku i stary doświadczony byku?

W 15 Rocznicę Powstania w Getcie Warszawskim



Łódź, Getto



Zduńska Wola 1942. Potępieni Żydzi

Dzisiaj już nie mam złudzeń, choć ludzie się nie [przestane,
że w naszym mieście umarłym jeszcze Cię, Matko, [zastane.

Ze zmartwychwstanieś wśród ruin — w łunie drogiego [mi miasta —
a ja podążę za Tobą — cień, co za słońcem wyrasta.

Całą nienawiść palącą wplotę w dni naszych symfonii,
łowo przekuję na piorun, sercem na trwogę zadzwonię!

HORACY SAFRIN

WIERSZ O MATCE MOJEJ

(FRAGMENT)

RZECZY ZMYŚLONE

Słowa cienkie i grube

str.

7

odgłosu

Już wkrótce!

OSCAR LINDAY

POCZĄTEK I KONIEC

„WIELKIEJ DROGI CESARSTWA”

Święta idea Hakko-Ishui-Filipiny w ogniu - Epopeja dywizjonu śmigaczy - Bękarci z Bataanu - Lądowo-morski „Blitzkrieg” - Przełom - Bój o Okinawę - Operacja „Złoty Smok”

Już w najbliższym numerze rozpoczynamy cykl sensacyjnych opowiadań-reportaży z japońsko-amerykańskich zmagani na Pacyfiku, obejmujący całokształt tego „teatru” Drugiej Wojny Światowej. Tekst ilustrowany i zaopatrzone w mapy sytuacyjne.

ALINA GRABOWSKA

O STUDENTACH

rozważania tendencyjne

Wczeszniczyłam w spotkaniu łódzkiej młodzieży studenckiej z Jaremą Maciszewskim, sekretarzem Krajowej Rady Studenckiej ZMS. Było to pierwsze chyba od roku zebranie akademickie, związane ze sprawami natury polityczno-organizacyjnej. Przebieg spotkania wyglądał mniej więcej tak: Godzina 15.55 aula „młótarz” WSE. Widzimy już około 4 osób. Godzina 16.00 przybywają działacze (w liczbie 15) oraz prasa (w liczbie 5 osób) co z miejsca podwyższa ilość znajdujących się na sali.

Godzina 16.10. Nieśmiało próby wciągnięcia do auli jeszcze kilku studentów kończą się fiaskiem.

Godzina 16.15. W obecności rektora WSE i Jaremy Maciszewskiego rozpoczyna się czytanie referatu zasadniczego.

Godzina 17.00. Na salę wkracza fotoreporter „Głosu Robotniczego” i ku radości ogółu „zdejmuje” dokładnie wszystkich obecnych.

Godzina 17.10. Głos zabiera Jarema Maciszewski...

Zarty na bok! Nie chodzi o napisanie jeszcze jednego skeczu młodzieżowego, ale o rozsądne zastanowienie się nad sytuacją, panującą na wyższych uczelniach. Sytuacja w tym środowisku budzi mniem bardzo poważny niepokój. Nie pomoże zastępowanie się teoryjkami w rodzaju: To dobrze, że na wyższych uczelniach w Łodzi jest 35 ZMS-owców, bo jakby nas było więcej, to by oznaczało, że idziemy złą drogą (?).

Wcale nie uważam, że organizacja młodzieżowa na wyższych uczelniach powinna liczyć tysiące członków. Lecz jeżeli na wstępne, niejako zapoznawcze spotkanie, pierwsze od dłuższego czasu, przychodzi kilkunastu studentów, a mamy ich w Łodzi ok. 15 tysięcy — to chyba niedobrze! To znaczy, że właściwie zupełnie ich nie interesuje ZMS i jego sprawy. Ze ogółu studencki, właśnie ci, którzy i tak nigdy nie będą „aktywistami”, ale od których zależy wszystko — jest najzupełniej oddalony od zagadnień, związanych z pracą organizacji.

Czy chcę przez to powiedzieć, iż nastąpił „kryzys” polityczny, że młodzież jest „apatyczna” lub nawet „cyniczna”? — Nie, bynajmniej. Chcę tylko powiedzieć, że łódzki ZMS źle zabiera się do roboty, a dotychczasowe próby były nie wystarczające. Zorganizowano wprawdzie „Okręgową Radę Studencką ZMS” — lecz przejawia ona za małą aktywność. Od roku słyszymy o „zamiarach” KŁ ZMS w kwestii studenckiej. Od roku słyszymy, że ZMS ma „w planie” to i to, a także tamto. No i co?

Tajniki wywiadów gabinetów i wydarzeń XX wieku

odgłosy

str. 8

* STRZYŻONO * GOLONO — STRZYŻONO * GOLONO — STRZYŻONO *



ZALEŻNOŚCI

Ostatnio dowiedziono na podstawie statystyk, że im częściej na ekranach zjawiają się gwiazdy o obfitych biustach, tym więcej kupują kobiety biustonoszy. W okresie sukcesów Giny Lollobrigidy, Sophii Loren, Marilyn Monroe oraz Jean Mansfield — we Włoszech sprzedano dwa i pół miliona więcej biustonoszy niż w poprzednim okresie, kiedy w filmie dominował neorealizm.

ODZNACZENIE FOGGA

Podczas koncertu pożegnania Mieczysława Fogga, który odbył się w sali Lambeth Hall w Briatou, polski śpiewak został dekorowany przez generała Bora-Komorowskiego odznaką honorową AK. Bór-Komorowski wygłosił również z tej okazji krótkie przemówienie o udziale Fogga, starszego strzelca AK, w powstaniu warszawskim.

FARUK GRA W TOTO

Eks-król Faruk, mieszkający obecnie w Rzymie, ma nowe hobby: gra we włoskiego piłkarskiego totka. Faruk podpisuje swe kupony pseudonimem „Omar” i ostatnio wygrał nawet około 200 dolarów.

JAPOŃSKA MĄDROŚĆ

Do Tokio przybyła niedawno misja handlowa Chińskiej Republiki Ludowej. W związku z tym premier japoński Kishi złożył oświadczenie, że co prawda rząd Japonii nie przyznaje oficjalnie prawa wywieszenia flagi nad siedzibą misji, jednakże ponieważ misja ma charakter prywatny, a prawo japońskie nie przewiduje w takim wypadku zakazu wywieszenia flagi, reprezentacja handlowa Chin może to uczynić.

LEKTURA DO SNU

Jak stwierdzono, w osobistym bagażu Franz-Josefa Straussa, ministra obrony NRF, który niedawno odbył podróż lotniczą do USA, znajdowały się liczne powieści kryminalne, m. in. „Cztery kobiety i jeden mord” Agathy Christie.

POGLĄD

Włoski tygodnik „Europeo” opublikował w dziale korespondencji następujący nader zwięzły fragment pe-



wnego listu, nadesłanego przez któregoś z czytelników: „Jestem wiernym mężem...” Równie zwięzły był komentarz redakcji: „Wyobrażamy sobie, jak nudzi się Pańska żona”.

CÓRKA HITLERA?

Maria Lorennto, miła 29-letnia blondynka, przebywająca w Argentynie, stwierdziła, że jest córką Hitlera. Według udzielonych przez Lorennto informacji, wyemigrowała ona ponoć w roku 1934 do Hiszpanii, potem pojechała do Francji, a wreszcie do Argentyny. „Nie mówię tego dla reklamy ani pieniędzy — powiedziała Lorennto — lecz dlatego, że chcę ustalić prawdę o moim pochodzeniu”.

WEDŁUG STARYCH WZORÓW

Liczne restauracje na terenie Saary umieściły niedawno tablicę z napisem w języku niemieckim i francuskim: „Wstęp dla północnych Afrykańczyków wzbroniony”.

CZUJNI DETEKTYWI

Bing Crosby zagrał raz z Eisenhowerem w golfa, lecz więcej postanowił tego nie czynić. Wyjaśnił on: „Z prezydentem powinien w przyszłości grać diabeł. Za każdym razem, kiedy wznosiłem mój kij do góry, doskakiwał jeden z detektywów i wyrwał mi go z ręki”.

BRON W WYBORACH

Wybory uzupełniające do parlamentu syjamskiego, które odbyły się w kilku okręgach wyborczych stolicy, uprawiały w ruch namiętności ścierających się ze sobą stronnictw. Jedną z gazet, atakująca kwestię przynależności Syjama do SEATO, opublikowała zdjęcie-akt, przedstawiające panią Thai, mal-

żonkę któregoś z europejskich urzędników SEATO, zrobione przezeń samego. Akt ową gazetę skomentowała jako dowód, iż biali partnerzy z SEATO niewiele mają szacunku dla swych kolorowych towarzyszek. „Kultura SEATO jest kulturą nagości” — oświadczył opozycyjny deputowany Suthi Puwapan na jednym z wieców w Bangkoku.

CIEKAWY

Pewien człowiek, umysłowo chory, wdął się do Clarence House, rezydencji księżniczki Małgorzaty. Po dłuższej gonitwie złapano go wreszcie na dachu. „Chciałem zobaczyć — oświadczył schwytanym — jak wygląda intymne życie księżniczki”.

CYTAT

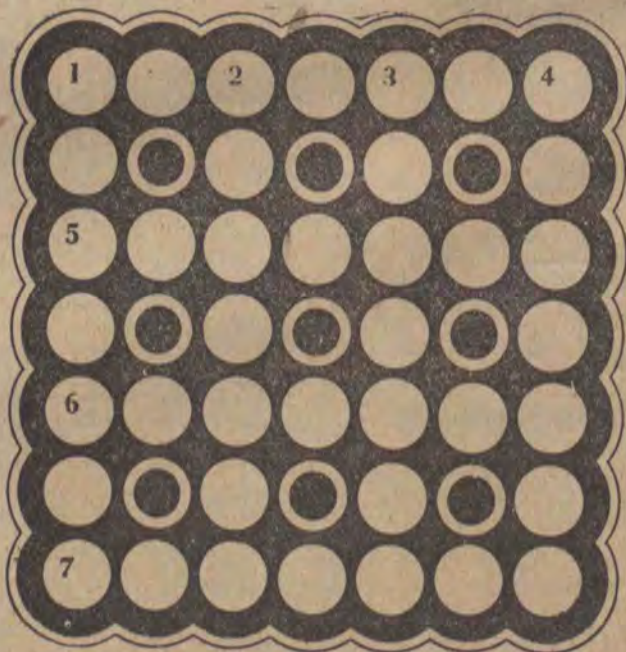
„Nie ma to nic wspólnego z wystąpieniem Hermana Goeringa w Karinhall, gdzie ukazał się on w tożsamymskiej czy też w stroju rycerskim” („Stockholms-Tidningen” w artykule o mianowaniu Konrada Adenauera honorowym rycerzem Zakonu Krzyżackiego).



PURYTANIE

Na wystawie obrazów w galerii Fauborg Saint Honore w Paryżu wybuchł skandal z powodu płótna włoskiego malarza Scilliana. Obraz przedstawiał starego człowieka, który uczy grup młodych, jak należy kraść. Wielu świętoszków domagało się usunięcia obrazu z wystawy, lecz policja nie zgodziła się spełnić tego żądania. Płótno Scilliana zostało oszacowane na 15 milionów franków.

NASZA KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów

POZIOMO: 1) Trener gladiatorów, 2) Nasze pismo, 3) Pogląd filozoficzny, według którego wszystkie ciała powstały z atomów, 4) Sprzęt strażacki, w którego nazwie jest rzeka przepływająca przez Stargard. PIONOWO: 1) Lampart, 2) Dard dla zwycięzcy w zawodach, 3) Są w kawiarni, 4) Niemiarkowość tętna.

Termin nadsyłania rozwiązań — 10 dni.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 4.

POZIOMO: — konglomerat, materia. osa, Oslo, Alas, oko, slo, rama, urna, sos, notatka, zleksandryt.

PIONOWO: — kosmografia, lato, mara, transparent, meloman, esy, aktorka, Oka, atu, Goa, stos, stan.

* GOLONO — STRZYŻONO * GOLONO — STRZYŻONO * GOLONO — STRZYŻONO *

PAMIĘTNIK SIEDEMNASTOLETNIJ

Dokończenie ze str.

my, profesorowie udają, że w to wierzą i tak czas upływa.

13 czerwca.

Dzisiaj zrobiliśmy wielką „drakę”. Miała być dodatkowa lekcja fizyki. Byliśmy oburzeni. Związaliśmy. Wychowawczyni jest bardzo rozniewana na nas. Nie wiemy jak to załatwić.

14 czerwca.

W szkole nadal nic nie wiadomo. Nauczyciele tylko kiwają głowami, a my dostajemy „gęsiej skórki” ze strachu. Mama jest dawną mamą, chodzącą na spacer i celującą mnie na „dzień dobry”. Wydawałoby się, że wszystko w porządku, jednak tak nie jest.

15 czerwca.

Mama dała bieliznę do prania naszej gospodyni. Jest to na pewno nie znaczący fakt. Ja jednak się boję, że kiedy mama będzie miała więcej czasu, znów coś z tego wyniknie...

17 czerwca.

Kiedy wróciłam od koleżanki, był u... jakiś jegomość. Czyżby nowy adorator? Tego za dużej. Byłam zła, jak pokrzywa. A na



uprzejme zagadywania odpowiadałam warknięciem „tak lub nie”. Mama przyłapała mnie w kuchni i chwyciła za rękę, tak jakby chciała mi je zniżyć i syknęła: „Opanuj się, bo...”. Do późnej nocy żaliliam się mojej kochanej poduszce, która zna moje wszystkie sekrety: ona jest najlepszą, jedyną powierniczką.

18 czerwca.

Wracają wieczory i noce, w czasie których w mieszkaniu pełno jest wylizanych alkoholi, zapachu śledzi w oliwie, papierosów, „nieparlamentarnych” wyrażań, ohydnych dowcipów, nieprzyjemnego chichotu mamy i rechotania innych uczestników „libacji”. A wśród nich — ja, nie zauważona przez nikogo.

23 czerwca.

Sprawa w szkole dopiero się teraz wyjaśniła i to całkiem pozytywnie. Wychowawczyni i dyrektor zostali przeproszeni, a my otrzymaliśmy ostrą nagane. Zachwiana równowaga wróciła akurat na zakończenie. W domu bez zmian.

25 czerwca.

Pierwszy dzień wakacji, które spędzę tu na wsi, mając świeże powietrze, krowie mleko i nudy. Mama robi awantury, ponieważ przyjemne noce skończyły się z powodu aresztowania jednego z uczestników pijatyki.

26 czerwca.

Powoli doprowadzam mieszkanie do porządku. Powyrzucalam próżną butelki i puszki od konserw, wyszorowałam podłogi i meble. Mama wciąż gdzieś biega i załatwia interesy. Boi się pewnie o całą melinę. Wolę nawet, kiedy nie ma jej w domu. Żyłka wtedy naprzężona atmosfera, pełna niedomówień, nieporozumień, zblizającej się nieuniknienie nienawiści.

27 czerwca.

Mama znów przyszła pijana. W popłitej sukience, z przekrwionymi oczyma, obrzękłymi powiekami i potarganymi włosami wyglądała jak uosobienie pijalstwa. Widok własnej matki w

takim stanie może doprowadzić albo do wybuchu żalu, albo do wściekłości. Tym razem nie płakałam, już nauczyłam się zaciskać zęby. Nieprzytomny trzępek człowieka rzuciłam na tapczan i poszłam spać. W nocy obudziły mnie jęki. Zrobiło mi się żal, wstałam, rozebrałam ją, zrobiłam zimny kompres, podałam proszek i do rana nie spałam, czuwając.

28 czerwca.

Mama przyszedłszy z pracy zrobiła kolację, sprzątnęła i teraz chodzi na palcach po mieszkaniu, aby mi nie przeszkadzała w czytaniu książki. Często zastanawiam się, jaka właściwie jest ta kobieta. Przychodzą mi różne myśli do głowy, ale nie mogę jej w żaden sposób zrozumieć. Na razie korzystam z okazji, że jest trochę spokoju w domu, a za oknem leje deszcz, i czytam, czytam... Bardzo lubię, kiedy pada deszcz, siedzieć w przytulnym mieszkaniu, słuchać miarowego chłapania i czytać marzyć.

30 czerwca.

Korzystam w pełni z przyjemności, jakich dostarcza wieś. Chodzę do lasu, wódcę się po polach z Perelką, czarna, kudłata i zawsze brudną suczką, która ma tylko tę zaletę, że szczeka za trzy duże podwórkowe... opalam się i pływam w pobliskim stawie.

2 lipca.

Pogoda od zakończenia roku szkolnego jest bardzo ładna. Cały czas praży słońce, więc jestem rozleniwiona, ale mój umysł pracuje sprawnie i wpadłam na pewien pomysł. Wybiorę się do Zambertowa, do rodziny mamy i poproszę wujka Leona, żeby przyjechał do nas i wyperswadował mamie ten tryb życia, jaki teraz prowadzi. Wujek chyba się zgodzi.

7 lipca.

Wszystko w porządku. Byłam w mieście. Na imieniny mamy przyjechała cała rodzinka. Będzie to powiązanie przyjemnego z pożytecznym. Uskładane pieniądze dałam Halinie, żeby kupiła dla mamy kryształowy wazonik. Mama na pewno będzie z tego zadowolona.



8 lipca.

Mama zajęła się tymi odwiedzinami i upiekła ciasto. Ja posprzątałam, kupiliśmy również trochę prowiantu. Żeby tylko przyjechali!

9 lipca.

Przyjechali o godzinie 9. Dom rozbrzmiewał gwarem. Pełno było ich wszędzie, w domu, w ogrodzie, na podwórku, w stodole i oborze. Ja czułam się dobrze w tym rozgardiaszu i gwarze. Po śniadaniu, które zjedliśmy w ogrodzie, całe towarzystwo wybrało się do parku. Zrobiliśmy sobie zdjęcie. Jakoś do tej pory nie zauważałam, żeby ktoś z rodziny rozmawiał z mamą dłużej niż kilka minut. Chciałabym im przypomnieć po co właściwie przyjechali, ale nie mam odwagi. Zwiedzaliśmy również grobowce dawny właścicieli pałacu. Po obiedzie odprowadziliśmy ich na stację. I tak skończyła się jedna z przyjemniejszych dla mnie niedziel.

12 lipca.

Dzisiaj byłam w lesie na... zybach. I chociaż nie przyniosłam ani jednego, ale za to poznałam chłopca. Usiadłam zmęczona pod drzewem. Słońce przyjemnie grzało, wyciągnęłam się na tra-

wie i zamyśliłam. Wtem słyszę męski głos: „Zmęczyla się, pani?” Byłam tak zdziwiona tym spotkaniem, że nie odpowiedziałam. „Widzę, że pani jest niezadowolona z mego towarzystwa”. W dalszym ciągu nie mówiłam. Chłopak powiedział: „Przepraszam”, i poszedł. Posiedziałam kilka minut i poszłam do domu. To było dziwne spotkanie.

13 lipca.

Mama pije. Jestem ociążała i znużona. Doszłam do wniosku, że życie nie ma sensu.

15 lipca.

Nie wytrzymałam. Poszłam do lasu i krążyłam w pobliżu tego miejsca, gdzie pierwszy raz spotkałam się, ale... nie widziałam Go.

W południe było bardzo gorąco, więc założyłam kostium i poszłam do stawu. Kiedy po pewnym momencie płynęłam na wznak, zobaczyłam „Go”, jak stał na wysokim brzegu oparty o drzewo. Dałam nurka, żeby mnie nie zobaczył, ale po chwili zachciało mi się śmiać, bo przecież pod wodą długo nie wytrzymam, a on nad wodą może stać choćby do jutra. Wypłynęłam i zaczęłam pływać swoim najlepszym stylem. Kiedy znów spojrzałam w górę Jego już nie było. Ze złości popłynęłam do brzegu „wściekłym” motylem. Narzuciłam sukienkę i popędziłam do domu.

18 lipca.

Już wszystko wiem. Nazywa się Czesiek Sienicki, przyjechał na wakacje do swego wujka leśniczego w Bierkowicach. Przepada



za polowaniem na dzikie kaczkę i uwielbia k-fir. Te informacje wyrecytowała mi jednym tchem Janka, która wszystko o wszystkich wie.

25 lipca.

Mama częściej przebywa w domu, mniej pije i jest jakaś lepsza. Przez ten cały czas ani razu nie widziałam Czeska. Jestem bardzo niespokojna i boję się o siebie, bo ten niezłany chłopak prosił mi w oczach do rozmiaru jakiegoś bohatera. Marzę o tym, by go spotkać, i jestem głęboko przekonana, że to spotkanie będzie bardzo piękne i bardzo różnie od innych tego rodzaju spotkań.

30 lipca.

Nareszcie moje marzenia się spełniły. Już jestem jego znajomą. Ta upragniona znajomość nastąpiła na majówce z tańcami.

3 sierpnia.

Myślałam, że się w Czesku zakocham, ale nie. Zresztą może i lepiej. Lubię tylko spotykać się z nim, spacerować, pływać i rozmawiać. Nasze rozmowy mają do siebie, że jeszcze żadna z nich nie została zakończona. Mama o niczym nie wie. Zresztą nie próbowałam z nią nigdy rozmawiać o moich uczuciach. Tak... nawet nie wiem, jaki jest jej stosunek do tego rodzaju spraw.

4 sierpnia.

Dzisiaj mama przyprowadziła swego znajomego. Jest jakieś 15 lat młodszy od niej. Został mi prawidłowo przedstawiony, a mama robiła ze mną takie ceremonie, jakbym to ja, a nie ona była główną osobą w tym domu. Panna Stanisława znalazłam bardzo wesołą i tylko jego spojrzenia rzucane na mnie wydawały się niedwuznaczne. Całe szczęście, że mama tego nie widziała. Dziwi mnie tylko to, że już nawet w starszych panach potrafię wzbudzić jakieś uczucie.



5 sierpnia.

Dzisiaj mam spotkanie z Czeskiem, jestem bardzo z tego powodu zadowolona. Po wczorajszym wieczorze, spędzonym w towarzystwie pana Stanisława i mamy, towarzystwo Czeska wydaje mi się więcej niż doskonałe, bardzo upragnione.

6 sierpnia.

Wczorajszy dzień był śliczny. Czuję się zakochana. Czesiek ma takie śliczne brzośce oczy i miły głos. Kiedy przyszedł do lasu siedział pod „naszym” dębem. Podeszłam do niego od tyłu i zakryłam mu oczy. Lekko drgnął, ale po chwili powiedział: „Zaraz poznałam, że to ty kochanie, bo tylko ty masz takie miłe łapki”. Przyglądałam się swoim rękami i dochodzę do wniosku, że rzeczywiście są ładne; opalone, niezniszczone, o cienkich, długich palcach. Trzeba by tylko trochę więcej o nie dbać.

9 sierpnia.

Nareszcie znalazłam rozkoszy poculunków. W pierwszej chwili byłam tak zaskoczona, że nawet nie pamiętałam, jakie miałam uczucie. Jeżeli tego rodzaju przeżycia świadczą o dojrzałości, to już ja powinnam się uważać za dorosłą.

12 sierpnia.

Jestem tak szczęśliwa, że chciałabym ucałować cały świat. Nawet wtedy, kiedy wracając do domu ze spotkań z Czeskiem spotykam tu „lekką zawiąną” mamę i pana Stanisława z jego lubieżnym uśmiechem, nie budzi to we mnie odruchu wstępu i pogardy. A czasem zdaje mi się, że trochę rozumiem ich. Przecież oni też się kochają, tylko jakąś bardzo swoistą miłością, polegającą na zaćmieniu umysłu alkoholem.

15 sierpnia.

Nie pisałam całe trzy dni, ale tak się jakoś składało, że nie miałam czasu. Dzisiaj idziemy z Czeskiem na zabawę. Bardzo lubię z nim tańczyć. Gdy pomyślę, że będę cały wieczór tańczyła przytulona, do niego, ogarnia mnie szczęśliwy lek.

16 sierpnia.

Mama dowiedziała się o wszystkim. Zrobiła mi wielką granadę i zabroniła wchodzić się z różnymi „typami”. Kiedy już wyczerpała swoje argumenty, spytałam ją z cynicznym uśmiechem, czy te dobre rady stosuje do siebie. To mamę zbiło z tropu. Zamilkła jak gdyby zawstydzona i więcej do tego tematu nie powróciła.

20 sierpnia.

Dziś przyszedł mi na myśl kontrast między delikatnymi, tak miłymi pocałunkami Czeska „na łonie natury” a brutalną miłością

mamy i pana Stanisława w ciemnym od papierosowego dymu pokoju, wśród butelek z „czystą zwykłą”.

22 sierpnia.

Wakacje dobiegają końca. Przeczuję, że również moja miłość. Do tej pory widziałam w Czesku same zalety, a teraz coraz częściej wady. Nawet jego pocałunki mniejszą sprawiają mi przyjemność niż dawniej. Czasem mam wrażenie, że tylko te pocałunki łączą mnie z nim i nie pozwalają na zerwanie.

23 sierpnia.

Idę na palcach dni do rozpoczęcia roku szkolnego. Chciałabym już być pochłonięta przez życie z jego smutkami i radościami, przyjemnościami i nieprzyjemnościami. Właśnie to ruchliwe, pełne sprzecznych cech życie umożliwia mi częściowe zapomnienie spraw sobiśtych.

25 sierpnia.

Za dwa dni wyjeżdża Czesiek. Mówiąc mi to dziś rano w lesie miał tak pogrzebową minę, że wybuchnęłam śmiechem. Muszę przyznać, że mało obchodzi mnie jego wyjazd. Znudził mi się z tą swoją wieczną uległością, grzesznością i tanim sentymentalizmem.

29 sierpnia.

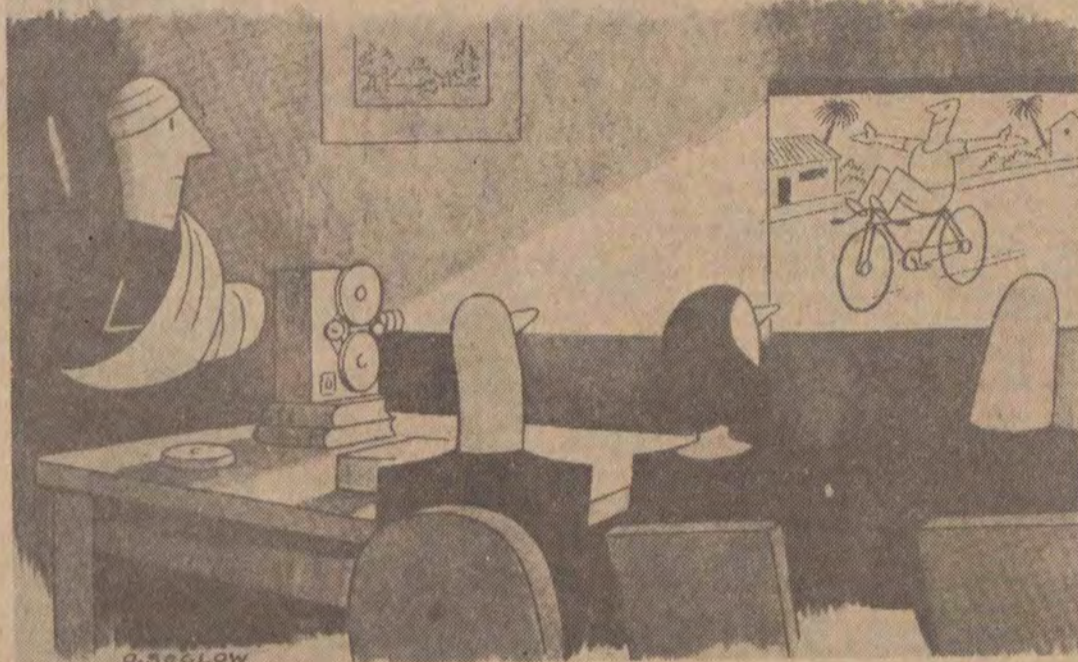
Teraz jestem w trakcie przygotowań do nowego roku szkolnego — bardzo to wzniośle i dobitnie brzmi. Kupiłam już wszystkie książki, zeszyty, papier do okładania. Jutro wszystko obłożę. Ach, przypomniało mi się najważniejsze. Muszę odświeżyć fartuch szkolny. Gdzie też mogą być moje zeszlizowane kołnierzyki? Chyba będą jeszcze możliwe do noszenia.

31 sierpnia.

Ostatni dzień wakacji. Jutro do szkoły. Były u mnie koleżanki i umówiliśmy się, która z którą ma „siedzieć” i w której ławce. Wszystkie ładnie opalone i zadowolone z wakacji. Tylko ja byłam zamyślona i mniej opalona. Zastanawiam się, co mi przyniesie ten rok szkolny. To jest ciekawe takie zastanawianie się na progu czegoś nowego.



OTTO SOGLOW albo uśmiech łagodny



Otto Soglow należy do najstarszego pokolenia amerykańskich rysowników-humorystów. Niektórzy czytelnicy przypominają sobie zapewne już sprzed wojny nie-zwykle popularne, drukowane w całej niemal prasie światowej, historyjki obrazkowe o „Małym Królu”. Ten właśnie cykl oraz seria przygód Agapita Krupki, rysowana przez Szweda Adamssona — zapoczątkowały „modę” na gatunek „historyjek obrazkowych”, tak lubianych po dzień dzisiejszy.

Brak miejsca nie pozwala na zaprezentowanie większej ilości opowiadań o Małym Królu. Powiem krótko: Mały Król jest „bohaterem pozytywnym”, niekiedy aż wzruszająco sympatycznym. Sekret w tym, że koronowany monarcha zachowuje się dosłownie w każdej sytuacji jak zwykły śmiertelnik — i jak zwykły śmiertelnik ma swoje drobne namiętności i słabości...

Krótko przed wojną Soglow rozpoczął współpracę ze słynnym tygodnikiem „New Yorker”, piśmie, które tak wspaniale rozwinęło gatunek dowcipu bez podpisu. I w tej dziedzinie — rysunków bez komentarza — Soglow dorównał swym młodszym kolegom.

Od kilku lat świetny humorysta jest uwięziony paraliżem. Przestał rysować, ale wymyśla pomysły do żartów. Ktoś inny doskonale „podrabia” pełen prostoty styl jego obrazków — i historyjki o Małym Królu, oraz inne dowcipy nadal obiegają łamy czasopism amerykańskich.

Łagodny, dobroduszny — te słowa narzucają się, gdy mamy określić humor Otto Soglowa. W jego żartach nie ma krzywej satyry, bohaterowie budzą żywą sympatię. Są tylko czasami zabawni, lub postawieni w zabawnej sytuacji... Myślę, że pan Soglow to bardzo miły i dobry człowiek, wyrozumiały dla naszych słabości. Przynajmniej tak o nim świadczą jego uroczyste rysunki.

J. WEY.

RozGrywki umysłowe

czyli
red. T. PODJADEK odpowiada

W tej rubryce nasz nowy współpracownik red. PODJADEK odpowiadać będzie na przedstawione mu pytania, a to nie po to, by malpować „Szpilkowego” Teofila. Ten Teofil piszący „listy do redaktora” sam jest właśnie naczelnym redaktorem „Szpilek” i pisze listy sam do siebie, w których odpowiada na pytania osób, które sam wymyśla (i osoby i pytania). Powinien on za takie machlojki przestać być czytany. Co innego red. PODJADEK, który za mały póletacik odpowiadać będzie na prawdziwe pytania.

PAN LEOPOLD zapytuje, jaką linię mają „Odgłosy” i dlaczego jej nie widać. Drogi panie Leopoldzie! Linię nigdy nie widać. To nie

jest coś, co się ogląda, ale coś, po czym się chodzi, wokół czego balansuje się i waha, z czego się zbacza lub nie. Ważna jest ta gimnastyka i ją się ogląda.

Poza tym „Odgłosy” mają Hnię. Widać ją z materiałów zamieszczanych wewnątrz numeru. I tak wynika z nich m. in., że „Odgłosy” są przeciwko Mussoliniemu, a za aliancami („Tajniki wywiadów”), za „Ondulanem”, za „golono” a przeciw „strzyżono”, za Pronobisem a przeciwko de Gaulowi, za „Złotym Kaskiem”, za „Amorem wygnanym” i za XI Plenum a przeciwko „Kukuleczce” i za „Owocami miłości”. Natomiast prawdą jest, że „Odgłosy” nie sprzecywały dotychczas swej linii generalnej w kwestiach 9 łódzkich uczelni postępu technicznego ludzkiej pornografii, B. Bardot, Hłaski i dystrybucji. Nie należy jednak z tego powodu desperować, wszystko się zrobi, a dobrzy ludzie pomogą.

PAN B. T. Z KRAKOWA. Termin rewizjonistów nie oznacza ludzi przeprowadzających rewizje. Wprost przeciwnie.

TOW. ROSTW. zapytuje: „Kiedy ranne wstają zorze?” Jak już z „Odgłosów” wiadomo wtedy, kiedy p. Marendziak „cichaczem wymyka się na ulicę” z wieńskiego nocnego lokalu przechodząc „obok dużych, czarnych „Mercedesów”. Trzeba się było zresztą uczyć przyrody w szkole.

PANI H. G. I INNE: „Czy Hłasko wrócił? A jeśli nie, to dlaczego?” — Wróci na pewno! A jeśli nie, to nie wiem dlaczego.

GRUPA ŁÓDZIAN: „Jak to będzie?” — Jakoś.

Zawsze do usług
PODJADEK

LESZEK WITCZAK

HANDLOWIEC NA WZDASACH

Błękitnie błyszczą tutaj niebo,
I gratisowo pachną mięty.
Woda w strumyczkach się upłynnia
jak w łódzkich sklepach remanenty.

Słowiki w bzach zrywają gardła,
odgórni spece od natchnienia.
Bezkrętnie w krę się rozpostarła
deficytowa moja ziemia.

FRASZKI

ZNAMienne

Im więcej panią ganią,
Tym bardziej lecą na nią.

ROZDWOJONA

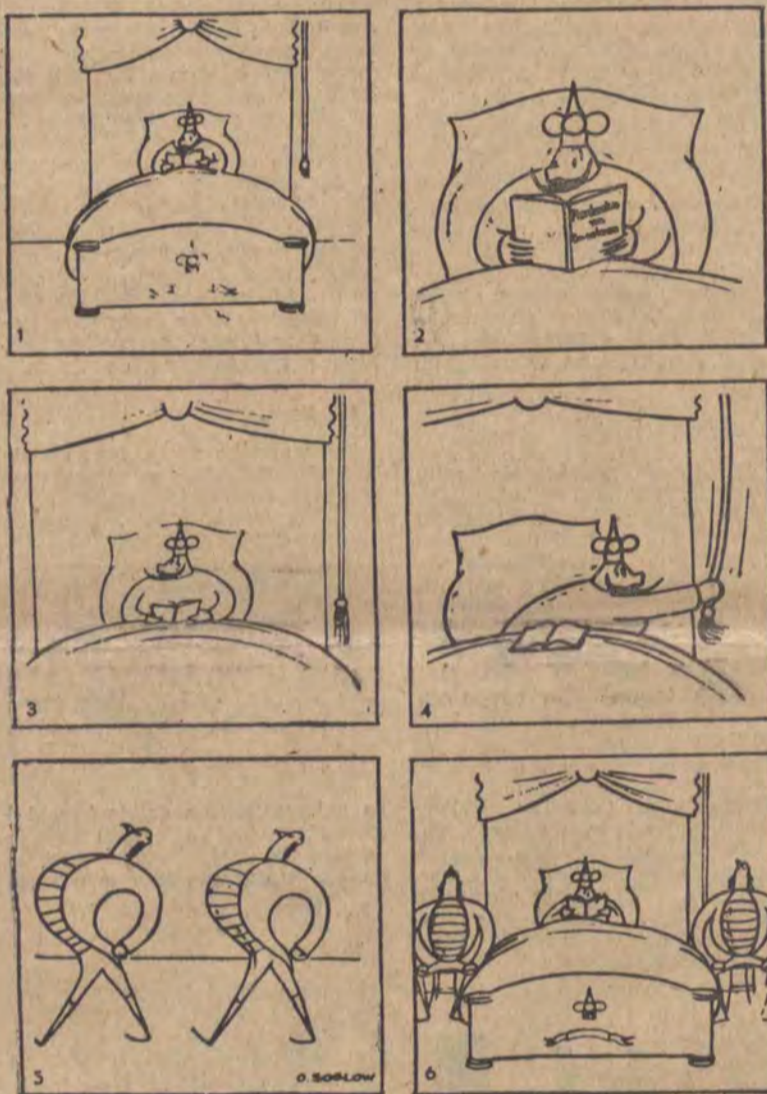
Głośno ceni sobie cześć
Z cicha wzdycha: Pal ją sześć!

STRIP-TEASE STAROPOLSKI

Najmilsza dziewa,
Gdy się rozdzwiewa.

NA EFEKTOWNY BIUST

Ilekróć pani mnie odwiedza,
Jej biust zawczasu mnie uprzęda.



MAŁY KRÓL czyta powieść kryminalną

JAN BESTER

ZGUBIONO & ZNALEZIONO

LOST & FOUND



W następnym numerze:

JEAN BELLUS

albo

żarty rozebrane



Kto projektował kostiumy?

IV
JAN CZARNY

Historia o Bzdurowie we fraszkach i obrazkach



Rys H. Poulain

Niemal na każdym parkanie
głośno myślą Bzdurowianie.

odgłosy

str.

10

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE

Poeta Nataniel i publicysta Tomasz, poszukując zabójców Pronobisa, przybywają do pałacu w Borowie, gdzie korzysta z wypożyczki kilkanaście osób ze świata artystycznego.

Mam pańską publicystykę. Jest, można powiedzieć, dobra. Dziennikarstwo to ciekawy i szlachetny zawód. Dziennikarze są ludźmi dowcipnymi, politycznie wyrobionymi. Lubię ich!

O tak — powiedziała Panią zasyłając mi serdeczny uśmiech. — Marzyłam, aby zostać dziennikarką. Niestety, tak się jakoś złożyło, że zajęłam się literaturą, poezją...

— Ze szkoda dla poezji, mademoiselle — powiedział Nataniel.

— Och, mistrzu! — zarumieniła się Panią.

Lecz na Nataniela niesposób się było obrazić. On obrażał z uśmiechem na twarzy. Oto ujął Panią za rękę, podniósł tę rękę wysoko, wysoko aż do swych ust. Wtedy na chwilę, jakby się zastanowił: „a może odrzucić precz to wstrętne lapsko”? Nie, pochylił głowę, pocałował dłoń i puścił bezwładną.

A teraz, Tomaszu, przedstawię ci coś naprawdę godnego uwagi. Tam wysoko na balustradzie schodów stoi późnogotycka polska rzeźba polichromowana, św. Jan Chrzeciiciel z barankiem. To zaś co widzisz niżej u wejścia na schody, jest osiemnastowieczną figurą biscuitową kanclerza Aupitalla. Oto obraz Dou — „Portret chłopca z psami” na tle widoku miasta Lazenwarden. Oto „Przeprawa przez rzekę” pędzą Jana Brueghla zwanego Aksamitnym. Ta „Gra w karty” jest niestety tylko osiemnastowieczną kopią obrazu Lucasa van Leyden z roku 1519. Oryginał znajduje się w Anglii, widziałem go w Wiltonhouse koło Salisbury w zbiorach hrabiego Pembroke.

W miarę jak mistrz opowiadał o obrazach do palarni wchodził coraz nowi mieszkańcy Borowa. Przedstawialiśmy się sobie wzajemnie, wymieniając słowa drobnych uprzejmości.

W ten sposób poznałem pana K., mężczyznę w średnim wieku o bardzo nieciekawej twarzy — redaktora teoretycznego miesięcznika „Horyzonty Filatelistyki”. Nie ogolonego, z włosami odrastającymi od głowy, jak świńska szczecina, malarza — pana Stefana Borówkę. Poważnego Prozaika i jego żonę, gadatliwą panią Eleonorę z Kraszewskich (tak mi się przedstawiła); aktorkę dramatyczną Katarzynę Rokoło — przystojną, w średnim wieku niewiastę; młodego krytyka — Grzegorzycy z wielką szopą włosów i fajeczką w zębach; tłumacza popularnych powieści — młodzieńca zwanego „Kostek”.

Gdy zasiadliśmy w jadalni do rozsuwanego owalnego stołu — wszedł spóźniony profesor Zann, matematyk i jego córka o uroczym imieniu Stokrotka. Przed kolacją profesor z córką odbył spacer po parku — obydwójce mieli policzki zaróżowione od mrozu.

— Tra ta ta, tra ta ta, proszę państwa. W nocy spadnie śnieg — oznajmił radośnie profesor.

Wszyscy uśmiechnęli się półgębkiem. Stokrotka, która zajęła krzesło u mego prawego boku (Nataniel siedział po lewej ręce), szepnęła mi do ucha:

— Ojciec od tygodnia przepowiada śnieg. Jeszcze ani razu się nie sprawdziło. Dlatego się śmieję.

Stokrotka miała poczucie humoru. Poza tym okrągła buźka z dwoma miłymi dołeczkami. Nieduża o obłych kształtach, młodzieńcza z bystrymi oczami, z głową w jasnych kędziorach stanowiła typ kobiety — buleczki. Mężczyźni przepadają za takimi, choć na co dzień zazwyczaj jedzą chlebski i żytni nasz chleb powszedni.

Ojciec Stokrotki był naprawdę wielkim uczonym. Miał kwadratową szczękę, którą ciągle poruszał.

Obok Nataniela (po lewej ręce), zajął miejsce Poważny Prozaik — żółta pergaminowa twarz, białka oczu zmącone rozlanym żół-

ciem. Mówił do Nataniela głosem smutnym i cichym, dobywającym się jakby z gardła wyłożonego wełną, którą zjadły mole:

— Tak się cieszę, Natanielu, z twojego przyjazdu. Tak się cieszę. Tak mało ostatnio spotykałem mądrych ludzi, coraz mniej. Tak mało dobrej prozy, tak mało dobrej poezji. Co robić? Co robić?

I tak długo bezradnie rozkładał ręce nad talerzem — a w jednej miał nóż, a w drugiej trzymał widelec — aż żona jego Eleonora z Kraszewskich, poczęła go pouczać:

— Ty się lepiej nikogo nie radź, nie słuchaj. A najbardziej nie słuchaj pana Nataniela, który ostatnio nic nie pisze, bo sobie szydzi z całego świata. I z ciebie także, ty głupi.

Poważny Prozaik zgodnie pokłiwał głową. Na moment zajął do jadalni doktor W.

— Kolację dzisiaj wcześniej podano, bo służba idzie na nocną zabawę taneczną we wsi, w remizie strażackiej. Ja także za chwilę wyjeżdżam do miasta, gdzie mam pewne zebrańskie obywatelskie. Powrócę jutro rankiem, wcześniej bowiem nie ma autobusu. Państwo zostaną sami na gospodarstwie, proszę zbytnio nie dokazywać. Tak, tak, do pana mówię, profesorze i panie Grzegorzyczku...

— Ojciec nieraz całe noce rżnie w karty i innych do kart zmusza — zwierzała mi się Stokrotka. — A pan Grzegorzyczek pije sam jeden wódkę w swym pokoju i potem wymyśla na siebie jak szewc.

Przy stole było trochę ciasno, co chwila mo-

16 STYCZNIA

Przed ósmą rano poruszył ciszę pałacu ostry, natarczywy dźwięk gongu.

— Ki licha? — pomyślałem — przecież według borowskiego rytuału mieli o ósmej podać śniadanie do łóżka.

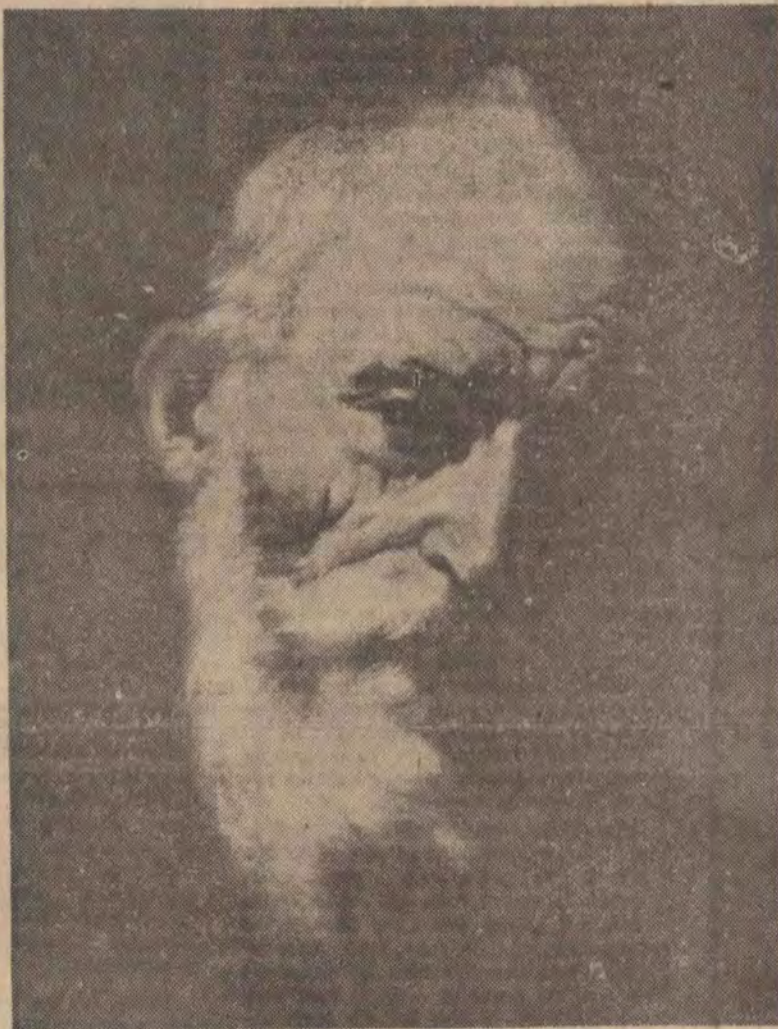
Gong bił jak na alarm, gwałtownie, gniewnie, wzywając. Pośpiesznie wciągnąłem spodnie i w pantoflach nocnych, w kurcie od pidżamy zbiegłem na dół do palarni.

Było już tam prawie całe borowskie towarzystwo: Pani z Wydawnictwa w okropnie kwiecistym szlafroku; Eleonora z Kraszewskich miała na głowie dziwny turban, spod którego złośliwie wyglądał papilot skrecony z gazety; Aktorka Katarzyna Rokoło paliła na czczo papierosa i bardzo kasłała — pod oczami zamazały jej się cienie, wyglądała o wiele starszej niż wczoraj podczas kolacji, ale nosiła wspaniały szlafrok z japońskiego jedwabiu w zielone smoki. Panowie przedstawiali się jak Bóg zdarzył — ten podobnie jak i ja w spodniach, w kurcie od pidżamy, ów w bonzurce, w szlafroku. Malarz Borówko nie licząc się z nikim przyszedł w pidżamie podobnej do więziennego pasiaka. Brakowało tylko Nataniela, profesora Zanna i Stokrotki.

Zjawili się zresztą zaraz, a w sekundę po nich wszedł również dr W. Nataniel zartobliwie mrugnął ku mnie powiekami i powiedział głośno:

— Pracowałem. Dziś w nocy pracowałem. „Poezjo — jesteś tyranem”.

Doktor W. trzymał w ręku miedziany gong i młoteczek. To on narobił alarmu.



Giuseppe de Ribera, GŁOWA STARCA, w. XVI.

je ramię stykało się z ramieniem Stokrotki. Raz trwało to nawet czas dłuższy. Wówczas to Stokrotka zwróciła mi głęboko w oczy.

— A pan... co tu będzie robił?

— Będę pisał „Dzieje sulejowskich opatów”. — Och — westchnęła trwoźnie. — Pan pewnie jest katolickim dziennikarzem? Znałam jednego, zachowywał się jak ksiądz. A taki był ładny, młodzieńcy...

— Zapewniłam panią jak najbardziej, że mam światopogląd materialistyczny.

— To dobrze. Oj, jak to dobrze.

Po kolacji z rozkazu mistrza Nataniela musiałem jednak odrzucić precz cielesne pokusy i poszedłem wprost do swego pokoju, gdzie przy nocnej lampie zasiadłem do spraw świątobliwych opatów. Najpierw zadałem sobie trud przejrzenia dotychczas wykonanej pracy i znalazłem w rękopisie poważną lukę, którą dopełniłem:

„Cystersi wydali ze swego zakonu dwóch papieżów: Eugeniusza III i Benedykta XII, ponadto 40 kandydatów, mnóstwo biskupów i arcybiskupów. Habit cysterski przywdziali nawet królowie i księżęta. Tyle zaś osób świętych w pierwszych dwóch wiekach cysterskie klasztory wyprodukowały, że na pewnej kapitule generalnej w XIV wieku postanowiono nie starać się więcej o kanonizowanie „aby część ku wybrańcom boskim, dla ich zbytniej mnogości, nie spowszedniała”...”

W nocy zbudziło mnie silne stukanie za ścianą, jakiś rumor. Potem usłyszałem skrzyp zamykanych drzwi. Ach, to pewnie profesor wraca z kart — pomyślałem, wiedząc, że nasze pokoje sąsiadują ze sobą. Odwróciłem się na drugi bok, a ponieważ hałas już więcej się nie powtórzył — zaśnąłem.

— No tak... — stwierdził ponuro. Naprzeciw drzwi w palarni we wmontowanej w ścianę szafie szkło było rozbita, a dolne półki opróżnione. Doktor wyliczał spokojnie, nie tracąc okazji, żeby popisać się swym znawstwem:

— Ukradziono czarkę ze szkła rubinowego w oprawce srebrnej, pozłacanej, roboty augsburskiej; zastawę do octu i oliwy gdańskiego złotnika Schlaubitz. Brakuje również srebrnej klasycystycznej sołniczki z orlem i czarki złoconej, roboty warszawskiej oraz dzbanuska klasycystycznego z warszawskiego warsztatu Lilpopa...

Nataniel zaniepokoił się nagle:

— A nie zabrano portretu Anny Orzełskiej?

— Nie, na szczęście...

— Bałwany! Matoly! Nie wiedzą co piękne — złościł się mistrz.

Doktor był jednak bardzo poważny:

— Proszę państwa, sprawa jest tym smutniejsza, że po pierwsze: sprawcy nie schwytano; po drugie: niestety, rabunku dokonał ktoś z nas. Spośród osób znajdujących się w tej chwili tu w palarni...

Ogólna konsternacja. Żółta twarz Poważnego Prozaika przybrała odcień różowy, jakby mu ktoś nakładł po gębie. Redaktor „Horyzontów Filatelistyki” wsadził ręce w kieszenie i bezceremonialnie zagwizdał. Panią z Wydawnictwa zbladła woskowo, Nataniel podrapał się w głowę, a profesor kilkakrotnie poruszył swą kwadratową szczęką. Za Stokrotką miała naprawdę głupią minę.

— Proszę państwa, wczoraj późnym wieczorem spadł śnieg — zaczął doktor.

— Tra, ta, ta, a nie mówilem? — zatriumfował profesor.

... i wszystko dookoła zasypał. Służba opuściła pałac bardzo wcześnie, z zabawy wróciła do swych pomieszczeń w oficynach i jeszcze do tej pory nikt ze służby nie został dopuszczony do pałacu. Tak więc służba jest poza wszelkim podejrzeniem. Śnieg padał od dziesiątej w nocy do dziesiątej w nocy, niecałą godzinę. Proszę państwa, w ciągu nocy nikt do pałacu nie wszedł, nikt z pałacu nie wyszedł, a w każdym razie na śniegu nie ma śladów. Rabunku chyba nie dokonano przed spadnięciem śniegu, bo sypał on do dziesiątej, a przecież w tym czasie państwo kręcili się po pałacu.

— Ja z panem redaktorem siedzieliśmy w palarni do jedenastej w nocy. Drzwi do jadalni były otwarte, mieliśmy szafkę z zastawą prawie na oczach — stwierdził Nataniel. Redaktor poświadczył:

— Do jedenastej nikt się nie mógł włamać do szafy w jadalni.

— A my z Panią prawie do dziesiątej trzydziści czytaliśmy w bibliotece niedaleko „Złotego gabinetu” — rzekła Pani z Wydawnictwa. — Przecież do diabła usłyszałybyśmy jakieś szmer i hałas? Było cicho jak w grobowcu, prawda Anielko? Nawet zwróciłaś na to uwagę...

— Ihy — kiwnęła głową Panią, dumna, że na niej spoczęły oczy wszystkich panów.

— W ciągu nocy nikt do pałacu nie wszedł, nikt z pałacu nie wyszedł — powtórzył doktor — Jedyne ślady na śniegu, to moje, gdy tu przyszedłem od autobusu, a potem stwierdziwszy rabunek, obszedłem pałac dookoła. Oczywiście, ja także należę do podejrzanych, ba, mnie najłatwiej byłoby obrabować pałac. Rzecz jednak w tym, że ja tu przyszedłem, mój ślad widać także dookoła pałacu, ale ja nie wyszedłem. Oczywiście znam tu różne zakamarki, mogłem zrabowane rzeczy ukryć. Zapewniam państwo jednak, że gdyby pewnego dnia naprawdę przysła mi taka myśl do głowy, ukradłbym stąd przedmioty o wiele cenniejsze, niż to zrobiono. Włamywacze nie okazali się dobrymi znawcami sztuki, prawda panie Natanielu?

(d. c. n.)

**Kradzieży mógł dokonać tylko ktoś z borowskich gości. KTO?...
Jeśli nie potrafisz odgadnąć — czytaj następne rozdziały.**

KOBIETO — KOBIETO

JUŻ WIOSNA!

CZAS POMYŚLEĆ O SOBIE

„ONDULAN”

najnowszy płyn uniwersalny do trwałej ondulacji na zimno
PRODUKCJI ŁÓDZKIEJ WYTWARNI CHEMICZNEJ

Tylko używanie płynu „ONDULAN” zapewni może zawsze staranne i eleganckie uczesanie.

NIE NISZCZY WŁOSÓW

ZAPEWNIĄ ICH PUSZYŚCIE

LATWY W UŻYCIU I TANI

Każda praktyczna kobieta dba o swe włosy i używa zawsze płynu „ONDULAN”
Pamiętajcie „ONDULAN” do nabycia

w Drogeriach i Składach Aptecznych

Cena 12,— zł wraz z opakowaniem.

Zadajcie zawsze!

Redaguje Zespół, Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, Tel. 244-19.

Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł.

Prenumerata przysyłana wszystkim płatowici pocztowa, listonosze oraz PUPIK

„Ruch”. Łódź, ul. Roosevelta 17 konto PKO — Łódź 7 — 8-579 z zaznaczeniem

„na „Ogłoszenia” Druk „Prasa”, Łódź, Zwirki 11, Zam. 1216 IV. 58, M-4.

MIĘSZAŃKA FILMOWA



EKRANIK

Z KRONIK KOPRODUKCJI

W ramach współistnienia i koprodukcji — scenarzyści Jacques Teri i Jerzy Stefan Stawiński piszą w Oborach pod Warszawą scenariusz o Marysiencie Sobieskiej. Jak wiadomo, przyjaźń polsko-francuska król Jan III Sobieski realizował dość starannie... w łóżku. Ciekawe, jak wiadomość o projektowanym filmie przyjmą autorzy memoriału rzeszowskiego oraz ks. Pirożyński?

JERZY HORDYŃSKI

— najgłośniejszy w Polsce oponent „Eroici”, zagrał w filmie reż. Bohdziewicz „Kłosze szczęścia” rolę erotomana.

16 POLSKICH FILMÓW

rysunkowych i kukielkowych, wśród nich cykl przygód prof. Filutka — zakupiły Stany Zjednoczone. Cle-

kawe, co my z kolei sprowadzimy za zarobione dolarki? Dobrze byłoby np. nabyć serię kreskówek Walta Disneya, od lat nie widzianych na naszych ekranach. Ale jeśli rzeczywiście dojdzie do takiej transakcji, to łatwo przewidzieć jej ciąg dalszy: widzowie i krytycy będą prosić, wolać, domagać się — a disneyowskie kreskówki spoczna po wsze czasy w bezpiecznym archiwum. Bo w interesie CWF nie leży wyświetlanie krótkometrażowych dodatków, a szczególnie programów składanych.

DONALD.



TEATRZYK KINOFIKCJI

Rok 1
NR VIII

przedstawia rzecz

z cyklu „Kariery filmowe” (4)

ATELIERS

Wypada wreszcie uczynić uwagę, iż mało rzetelni historycy kina zbyt pobieżnie opisują warunki, towarzyszące niegdyś powstawaniu obrazów. A szkoda. Albowiem ówczesne ateliery, model 1905—1909, znacznie różniły się od kształtu dzisiejszej wytwórni. Zasadniczą różnicę znajdujemy bez trudu, kiedy spróbujemy rozpatrzyć przynajmniej niektóre szczegóły konstrukcji architektonicznej. Oto dawne ateliery pokryte były szklanym dachem, chroniącym ekipę zdjęciową na wypadek deszczu, a przepuszczającym światło słoneczne, pożądane dla celów ekspozycyjnych.

W takich warunkach powstały słynne obrazy Georges Méliésa: „Podróż na księżyc”, „Podróż do krainy niemożliwości”, „Zdobycie bieguna” i inne. Méliés, niegdyś mistrz iluzji i czarnej magii, nakręcał je w studio w Montreuil, niedaleko Paryża. Jeżeli chodzi natomiast o naszą kinematografię, to podobny poziom rzemiosła towarzyszył jej do roku 1939...

Kiedy po wyprodukowaniu nieudanego obrazu właściciel ówczesnego atelier bankrutował, a w wyniku finansowej plafty nie mógł w dalszym ciągu opłacać produkcji, wtedy lokal bywał dawany w dzierżawę. Najczęściej ogrodnikom, gdyż dzięki szklanej kopule dachu — ateliery były wyraźnie predysponowane do pełnienia odpowiedzialnej funkcji inspektów. Zamiast obrazów, dojrzewały w nich wówczas cyfrowe pomidory i zielone ogórki. Aż po jakimś czasie inspekty bywały odkupowane, i miejsce cichych warzyw (a niekiedy kwiatów) znów zajmowały hataśliwe akcesoria, niedozwolone przy produkcji filmów.

Co za różnica! Dzisiejszego producenta (którym jest u nas państwo) chronią przed plagą nieograniczone możliwości. Platnice i nerwowe. Dlatego o bankructwie nie może być mowy. Kto zresztą (jaki ogrodnik?) wynająłby hale zdjęciowe nowoczesnej wytwórni? Na przykład naszej... Tej, która mieści się przy ulicy Łąkowej — nieopodal parku. Czy poczytne warzywa zgodziłyby się dojrzewać w świetle jupiterów? Czy tak ambitna inicjatywa społeczna — jak wynajęcie hali — mogłaby liczyć na poparcie społeczne? Przepuszczam, że nie... Wróćmy przeto do owej, zamierzonej epoki naszych babek, gdy pod szklanym sufitem, a bez „klapsu” — którego jeszcze nie znano — pierwszy raz wystąpiła Klaudia...

(d. c. n.)

PRZYSTĘPNY SŁOWNIK TERMINÓW FACHOWYCH, UŻYTYCH W POWYŻSZYM TEKŚCIE:

ATELIERS — miejsca, w których nakręca się filmy. Bywa, że filmy nakręca się także w plenerze, czyli na świeżym powietrzu.

EKIPA ZDJĘCIOWA — grupa ludzi, bezpośrednio zajętych przy produkcji obrazu.

KLAPS — czarna deseczka, wydająca charakterystyczny trzask. Przyrząd używany przy nakręcaniu dźwiękowego filmu.

PIES MA 30 LAT

Okrągłe trzydzieści lat liczy sobie „Pies Andaluzyjski”, 2-aktowy, niemy film Louis Bunuela i Salvadora Dalí oglądany jest dziś w klubach filmowych całego świata...

Prawdę mówiąc, nie wszyscy zachwycają się „Psem Andaluzyjskim”, znacznie bardziej trafia niektórym do serca misterny rytm „Baletu mechanicznego” Legera, lub absurdalny, zwariowany dowcip clairrowskiego „Antraktu” — jeśli mowa już tylko o filmach francuskiej awangardy lat 20. U Bunuela razić może cała poetyka, niejasne metafory, odnoszące się do... ba, do czego? Sami arcy mistrzowie surrealistów zawsze skrzętnie unikali jakiegokolwiek enuncjacji na ten temat.

Ale oto próbka scenariusza: „Dziewczyna przywarła do muru i patrzy przerażona na manewry swego prześladowcy. Młody człowiek zbliża się do niej, ciągnąc z wielkim wysiłkiem to, co jest uwiązane do sznurów. Pojawia się korek, potem melon, potem dwu młodych kleryków, wreszcie dwa wspaniałe fortepiany. Forte-piany są załadowane padliną. Gdy jeden z fortepianów, przesuwając się przed obiektywem, widać wielką głowę osła, spoczywającą na klawiaturze”.

Któryś z historyków (bodaj George Sadoul) — tłumaczy tak sens tej sceny: człowiek znajduje się pod przemożnym panowaniem popędu seksualnego, lecz ten jego popęd hamowany jest przez wychowanie kulturalne (forte-piany?) i religijne (klerycy?)...

Podobnie interpretuje tę kluczową scenę „Psa” zmarły przedwcześnie reżyser francuski, Jean Vigo.

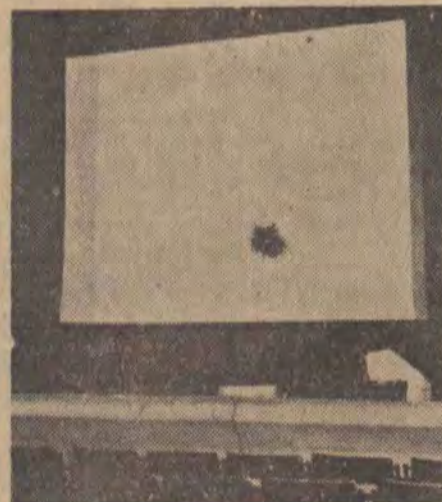
Jean Vigo określa walory „Psa” w innej płaszczyźnie, mówi przede wszystkim o filmowych, formalnych zaletach, a nie o ładunku myślowym klasycznej pracy Bunuela. Można się ostatecznie zgodzić, że „Pies Andaluzyjski” jest manifestem „panseksualizmu” — ale przecież nie w tym leży jego wielkość. W ten sposób staje się on tylko echem teorii pewnego wiedeńskiego lekarza...

Porównajmy „Psa” z komercyjną produkcją tego okresu. Już tak elementarne cechy rzemiosła — jak pomysły przejść montażowych, organizacja czasu i przestrzeni filmowej, prowadzenie aktora — sygnalizowały talent reżysera.

Potwierdził to czas. Bunuel został wybitnym filmowcem. Niesposób zrozumieć, dlaczego dotąd nie sprowadziliśmy do Polski jego znakomitego dzieła „Los Olvidados”, wymierzonego przeciw chuligaństwu młodych Meksykanczyków. Trudno o lepszy film na temat wykołowanej młodzieży...

Czapki z głów — uczcijmy 30-letniego psa! I czekajmy cierpliwie na decyzję Wysokiej Komisji Zakupów w sprawie „Los Olvidados”...

JANUSZ WEYCHERT



Na tym zdjęciu widać wyraźnie, jak widownia paryska przyjęła premierę „Psa Andaluzyjskiego”



Harry Belafonte, piosenkarz (calypso) i aktor filmowy.

POD ROZWAGĘ „POŁAWIACZOM GWIAZD”...

My, widownia — ciągle zadajemy sobie utracone pytanie... Dlaczego w naszych filmach nie pojawiają się nowe twarze? Szczególnie dotkliwie daje się odczuć brak młodych, zgrabnych aktorek, o niebanalnej urodzie. Piszę o tym po znalezieniu na łamach „Odgłosów” wstępnego felietonu p. Anatola Kobylńskiego, zawodowego „poławiacza gwiazd i gwiazdeczek”.

Piszę, bo nie wydaje mi się, żeby autor felietonu docenił wagę zagadnienia. Piszę, bo jak sądzę, mój głos — padający z widowni — dorzuci niektóre kwestie. Kwestie z punktu widzenia odbiorcy.

Po pierwsze — sprawa narybku. Jak nam wiadomo, wszystkie Wyższe Szkoły Aktorskie, a także wydział aktorski przy Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi, są jedynymi, oficjalnymi wyłęgarniami talentów... Te szkoły, prowadząc nabór kandydatów — przede wszystkim żądają matury. Trudno się temu dziwić, są przecież wyższymi uczelniami. Ale maturzystka, to zarazem wiek. Przeważnie 18, 19 lat... Dodajmy do tego pięcioletnie (najczęściej) studia, a zaraz nasunie się wcale niewesoły wniosek: 25 lat — to nie najszczęśliwszy wiek dla debiutantki... Ile miała lat debiutująca Brigitte Bardot? Marina Vlady? Danielle Delorme? Przykro o tym wspominać. Bo te aktorki w momencie debiutu były młodsze od naszych dziewczęząt rozpoczynających studia...

Odpowie ktoś, że już w trakcie studiów początkująca aktorka może wystąpić w filmie. Tak, ale tylko w teorii. Bo w praktyce na przeszkodzie stoją temu liczne przepisy, zabraniające studentkom szkół aktorskich podejmowania jakiegokolwiek ról w czasie trwania roku akademickiego... Dlaczego? Składa się na to zarówno sprawa dyscypliny studiów, jak i inne, bardziej delikatne kwestie. Do niedawna na przykład zdarzało się, że w jednym i tym samym filmie występowała studentka obok swojego profesora, także aktora. Oboje słuchali poleceń reżysera, a niekiedy studentka otrzymywała rolę główną, a jej profesor rolę epizodyczną, i stosownie do tego uposażenie...

Zeczywiście nie była to naj-

szczęśliwsza sytuacja. Piszę „była”, bo już nie jest. Ukuto teorię, że kino... demoralizuje. Ze młode adeptki sztuki aktorskiej nie mogą do chwili ukończenia studiów występować w filmie, bo przeszkadza to w prawidłowym rozwoju ich talentu. W rezultacie bodajże tylko łódzka Wyższa Szkoła Teatralna toleruje poprzedni stan rzeczy. Inne uczelnie — na przykład warszawska — zazwyczaj nie wyrażają zgody. Ileż to razy dzięki temu powtarza się sytuacja, że studentka, po nakręceniu filmu, przestaje kontynuować naukę?

Skutkiem opisanej mechaniki — kinematografia skazana jest na wyszukiwanie twarzy i talentów „z ulicy”. Opisanie, jak się ta akcja odbywa (w myśl zapowiedzi redakcji „Odgłosów”), będzie tematem dalszych felietonów p. Kobylńskiego. Chcę uniknąć ewentualnego dublowania. Nie notuję więc ani własnych spostrzeżeń, ani własnych uwag, traktujących o tej samej sprawie. Pragnę tylko podać pewną myśl...

Jak wiadomo, tygodnik „Przekrój” zapoczątkował akcję o charakterze fotograficznym. Kandydatki nadeszły zdjęcia, zdjęcia były rozpatrywane itd. Nie jest to pomysł najszczęśliwszy. Wiadomo przecież, jak dalece odbiega czasem zdjęcie od oryginału. Dlatego „akcja fotograficzna” może być tylko etapem wstępnym. Proponuję inną akcję, opartą o Kluby Filmowe. Wydaje mi się, że młodzież zrzeszona w Klubach ma najlepsze rozeznanie wśród swoich rówieśników, i doskonale da sobie radę...

L. Z.

Wyjątkowo krótki scenariusz pt.

SIŁA ZWYCZAJU

Pijany kominiarz wracał wieczorem do domu. Niósł w białym pudełku ciastka. Kiedy przechodził na drugą stronę ulicy potknął się i upadł. Rozgniecione ciastka leżały na ziemi.

Kominiarz krzychał, że jest bydlęciem, że dziecku nawet ciastka nie przyniesie...

Przechodzący ludzie chwytały się za guziki...

ANDRZEJ KOSTENKO